3 1761 08822381 3

H. Sienkiewicz

PISMA

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM IV.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM IV

LISTY Z PODRÓŻY:
KOLEJĄ DWÓCH OCEANÓW.
SZKICE AMERYKAŃSKIE.

Cybulska
486078
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1899

Kabe

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Октября 1898 г.

LISTY Z PODRÓŻY.

IV.

Koleją dwóch Oceanów.

I.

Gdym pomyślał, iż będę pierwszym z Polaków, który z naocznych wrażeń opisze wielką kolej dwóch Oceanów, myśl ta tyle nadała energii i pośpiechu moim czynnościom, że już piątego dnia po przybyciu do New-Yorku, znalazłem się razem z towarzyszem moim na Zachodnim dworcu, z którego kolej wychodzi do Chicago. Załatwiwszy sprawę z rzeczami i wykłóciwszy się z zawiadowcą stacyi, który, jako prawdziwy jankes, chciał nam koniecznie sprzedać drogo sznur do obwiązania jednego z pakunków, ruszyliśmy w kierunku Wielkiego Zachodu. Wyjechaliśmy z New-Yorku w nocy; dlatego brzegi Hudson-River widziałem tylko przy księżycu. Szczęściem, noc była jasna od

księżyca i od śniegu, który pokrywał okolicę, mogłem więc dowoli paść oczy przepysznymi widokami, rozpościerającymi się po prawej i lewej stronie kolei. Ogromna, szeroka rzeka błyszczała jakby taśma srebrna. Na brzegach stały nieruchome, milczące, czarne lasy; okolica wydawała się, zwłaszcza po nocy, dość dzika i dziewicza, a fantazya moja zaludniła ją Indyanami i bawołami, po których, mówiąc nawiasem, ślady już zatarły się w tych stronach, i o których tu urodzeni i wzrośli mieszkańcy niewiele więcej wiedzą od mieszkańców Warszawy albo Lublina.

Jakkolwiek, wskutek stosunków, łączących mnie z pewnym młodym tłómaczem geografii Guthego, wiadomości moje geograficzne równają się wiadomościom przeciętnego trzecioklasisty, mającego przeciętną nadzieję promocyi do klasy czwartej, wyznać jednak muszę, że Amerykę, a przynajmniej Stany Zjednoczone wyobrażałem sobie jako kraj daleko cieplejszy. W Europie, w Belgii, Francyi, a nawet i Anglii, zostawiłem za sobą wiosnę, wody szeleszczące i zieleniejącą ruń zbożową; tu zaś, na szerokości geograficznej Włoch południowych, śnieg leżał na polach, powietrze było surowe, dojmujące, a drzewa

wśród ciemności nocnych rysowały się w twarde bezlistne kontury. Hudson-River nie była jednak zamarzłą, widziałem bowiem wielkie parowce, przerzynające spokojną toń tej szerokiej rzeki, co, zwłaszcza nocą, wspaniały przedstawia widok. Wkrótce jednak rzeka znikła nam z oczu. Pociąg biegł drogą, wyżłobioną w skale, której wysoko wznoszące się po obu stronach ściany zakrywały zupełnie krajobraz. Chwilami przelatywaliśmy przez tunele, ale przelatywaliśmy wcale nie z ową osławioną szybkością amerykańską, o której tyle poprzednio zdarzało mi się słyszeć i czytać. Przeciwnie nawet, do dzisiejszego dnia tyle już najeździłem się rozmaitemi kolejami amerykańskiemi, iż mogę powiedzieć napewno, że wszelkie opowiadania o szalonej jeździe są wierutnemi bajkami. Pociągi amerykańskie nietylko nie chodzą prędzej, ale chodzą bez porównania wolniej od zwyczajnych europejskich, z wyjątkiem tylko nadzwyczajnych pociągów, które bądź to dla fanfaronady, bądź dla oryginalności, lub nakoniec interesu, przebiegają takie naprzykład przestrzenie, jak z New-Yorku do San-Francisco, w ciągu trzech dni i trzech nocy.

My jechaliśmy siedm dni i siedm nocy, wpraw-

dzie bez przestanków dłuższych, niż godzina lub dwie, ale tak, jak jeździ u nas kolej Terespolska. Nie wliczam jednak w tę rachubę kilkodniowego przymusowego przystanku na jednej stacyi, na której zasypały nas śniegi. Przez owe siedem dni mieszka się w wagonie, sypia w wagonie, jada w wagonie, a z czasem tak się do tego przywyka, że potem już i usnąć przez parę nocy nie można bez zwykłego kolejowego huku i zwykłego kolejowego drżenia. Kto jeździ tak zwanymi *sleeping-carami*, temu podobna podróż przechodzi dość znośnie; sypia się bowiem na łóżku mniej więcej takiem, albo nawet i lepszem, niż w domu; ale kto musi przepędzać noce w zwykłym wagonie, ten cierpi prawdziwe męki; w opowiadaniach bowiem o wygodzie i komforcie wagonów amerykańskich tyle jest prawdy, ile w wieściach o kolejowej szybkości. Zwyczajny amerykański wagon pierwszej klasy jest to ogromna buda, wzdłuż której boków stoją dwa szeregi ławeczek, każda na dwie osoby, środkiem zaś znajduje się miejsce dla przechodzących. Ławeczki te, obite zwykle wypłowiałym welwetem, albo odrapaną zieloną ceratą, są tak wązkie, że z trudnością mogą pomieścić dwie średniej tuszy osoby, stoją

zaś tak blizko siebie, że każdy, opatrzony trochę dłuższemi nogami śmiertelnik rzeczywiście nie wie co z niemi zrobić, jeżeli zwyczajem wielu Amerykanów nie zechce ich oprzeć na poręczy następującej ławki, chwytając w ten sposób, jakby w szczypce, głowę pierwszego lepszego podróżnego.

W każdym z dwóch końców wagonu znajduje się przytem piecyk żelazny, w który posługacz kolejowy nakłada dzień i noc tyle węgli, ile się zmieści. Gorąco oczywiście jest nie do wytrzymania, swąd jeszcze większy od gorąca, podróżni spacerują po całym pociągu, konduktor raz po raz przetwiera drzwiami, zimny wiatr wpada z całym zapasem reumatyzmów; sąsiedzi żują tytuń, spluwają, jedzą, śpią; wszędzie największy nieład i nieporządek; na podłodze mnóstwo skórek od rozmaitych owoców, skorupek od orzechów, fajansowych spluwaczek, o które potykasz się co krok; jedni gwiżdżą, inni śpiewają, inni chrapią, dzieci wrzeszczą, mężczyźni zdejmują surduty, kobiety są jak można do rosołu, słowem: istna zarwańska ulica.

Rankiem szczególnie wagon taki wygląda. jak prawdziwe pobojowisko. Wśród tego chaosu

krąży konduktor, wcale nie taki poczciwina, jak w Europie, który klasyfikuje podróżnych na »porządnych« i »nieporządnych« i rozsadza ich wedle tej klasyfikacyi, albo któremu daje się papierosa za to, żeby nikogo więcej nie puszczał do przedziału; ale wielki konduktor, wielka figura, istny kapitan okrętu, który przełazi się ciągle po całym wagonie, siada w *sleeping-carach* lub *drawing-roomach*, zakłada nogi na nieprawdopodobne wysokości, zdejmuje surdut, przysiada się do kobiet, często jest wspaniały, czasem wyniosły, czasem majestatyczny, czasem wyniośle poufały, lub lekko karcący, a czasem opuchły po nieszczęśliwej zamianie kilkunastu kułaków z jakim traperem, który znowu nie robi sobie nic nawet z osób tak wysoko położonych.

Wogóle na tych kolejach jest tak: jeżeli ty obrazisz konduktora, wyzwie cię na kułaki, popodbija ci oczy i wyrzuci z wagonu; ale jeżeli jesteś silniejszy, to ty możesz zgruchotać mu szczękę i wyrzucić z wagonu. To samo ma się rozumieć i o tych gentlemanach, którzy palą w piecach i ścielą łóżka w *sleeping-carach*, choć zresztą jak wszędzie, tak i w Ameryce, kto się sam szanuje i awantury nie szuka, ten

jej nie znajdzie, owszem, jeżeli jest cudzoziemcem, będą go tu na swój sposób szanowali.

W *sleeping-carach,* to jest w sypialniach wagonowych, albo jeszcze w tak zwanych *silver-palace Pulmana,* panuje istotnie pewien komfort i większy porządek. Wieczorem przychodzi murzyn, wyciąga rozmaite szuflady w bokach wagonów i zamienia je w łóżka, które umieszczone są jedne nad drugiemi w bocznych, dłuższych ścianach wagonów, każda zaś jedna para jest oddzielona od drugiej adamaszkowemi firankami. Takie dwa łóżka nazywają się sekcyą: łóżko dolne lepsze, górne gorsze; kiedy się podróżuje we dwóch lub we dwoje, zamawia się naprzód taką sekcyę i ma się na noc jakby własny, i to adamaszkowy buduar; podróżujący jednak pojedyńczo i nie chcący płacić za całą sekcyę, mają prawo tylko do jednego łóżka, co jest nieprzyjemnem i ambarasującem... ponieważ często się zdarza, że ta sama sekcya przypada nie na dwóch, lecz na dwoje.

Niema w tem najmniejszej przesady. Stary Niemiec, sprzedający cygara, który jechał razem z nami aż do Omaha, był współwłaścicielem sekcyi, której dolną, wygodniejszą połowę zajmowała również wiekowa i chuda jak śmierć

miss. Każdego ranka oboje rzucali na siebie nader niezadowolone spojrzenia, co wieczór zaś biedny Niemiec musiał gramolić się na górne łóżko, co czyniąc gniótł pościel dolnego i stękał, jakby miał zamiar oddać w tej podróży duszę.

Taki zwyczaj w Europie pociągnąłby zapewne za sobą rozmaite mniej więcej skandaliczne następstwa. Amerykanie jednak nie znajdują w nim nic dziwnego. Tłómaczy się to łatwo nadzwyczajną czcią i szacunkiem, jakim tu otoczona jest kobieta. Każda z kobiet, chociażby najmłodsza, jeśli tylko podróżuje sama, jest pod opieką wszystkich mężczyzn, którzy krwawo, bo poprostu pięścią, lub rewolwerem, a w Stanach, gdzie panuje prawo *lynch*, nawet postronkiem, mszczą się za wyrządzoną jej obelgę, choćby to byli prości tylko górnicy lub fermerowie. Swoją drogą czci tej i uszanowania nie należy brać za jedno z francuską wykwintnością. Dżentlemanowie, którzy z nami jechali, jakkolwiek należący do wyższych warstw społecznych, bynajmniej nie uważali za niestosowne chodzić wobec kobiet bez surdutów lub bez butów, a gdyśmy zwracali na to ich uwagę, odpowiadali, że nie o to wcale chodzi i że zacho-

wanie czczych pozorów jest tylko blichtrem, poza którym kryje się podstęp i zasadzka. My jednak po staremu trzymaliśmy się prawideł nie amerykańskiej, ale naszej polskiej i europejskiej dworności, która przez kobiety tutejsze za najlepszą jest uważana.

Nazajutrz rano, po pierwszej nocy, rozbudziliśmy się dość późno. Większość łóżek w wagonie była już poskładana; niektóre damy ubrane, a nawet wystrojone, piły kawę lub herbatę na małych stoliczkach, stojących między kanapkami; dżentlemanowie w surdutach i bez surdutów wchodzili lub wychodzili z małej ubieralni męskiej, umieszczonej w końcu wagonu; konduktor siedział pod oknem z rękoma w kieszeniach i z zaspanemi oczyma, męczony przez długą czkawkę, i rzucał niezadowolone spojrzenia na obecnych, jakby dziwiąc się, że nikt nie poczuwa się do obowiązku powinszowania mu tak szczęśliwej ulgi, jaką jest czkawka w sprawach trawienia; ja zaś poszedłem do okna, aby zobaczyć, jak też wygląda Ameryka po dniu, przy świetle słonecznem.

Pociąg szedł teraz drogą otwartą i nizką, na płaszczyźnie, której krańce zamykały lasy drzew bezlistnych. Okolica była ludna. Po obu stronach

widać było fermy z pięknymi domkami w stylu szwajcarskim, krajobraz zresztą dość podobny do polskiego. Gospodarstwa, o ile tę rzecz można ocenić w zimie, ani mogą się porównać z niemieckiemi, belgijskiemi lub francuskiemi. Liche zabudowania gospodarskie, brak porządnych płotów zupełny, brak rowów: wszystko to przypomina zapadłe strony Podlasia lub Pińszczyznę. Ziemia znać bardzo urodzajna, ale też dlatego może niedość starannie uprawna, smutno przedstawia się oku przywykłemu do pysznej kultury w zachodniej Europie. Wszędzie tu widać jakiś pośpiech w zakładaniu gospodarstw; znać, że nie miały jeszcze czasu ustalić się i przyozdobić. Miejscami, jakkolwiek jechaliśmy ciągle Stanem New-York, najludniejszym i najlepiej zagospodarowanym ze wszystkich, domki fermerskie, samotnie stojące wśród rubieży leśnych, widocznie świeżo co były wyszły z pod siekiery. Naokół ani drzew cienistych, ani sadów owocowych, ani znaku ogrodów; las tylko szczery, lub jak okiem dojrzysz, smutne, osmolone szeregi pni wyciętych, miejscami stosy gałęzi i wiórów, tu i owdzie zaś wielkie kałuże, pełne wody ciemnej, błotnistej, ujęte na brzegach w szarawą ramę brudnego śniegu.

Miejsca takie mimowoli przywiodły mi na myśl sceny trzebieży lasów, jakie tyle razy widziałem u nas; tu jednak mają one inne, mniej złowróżbne znaczenie. Tu lasów jeszcze dziś wszędzie taka jest obfitość, że pionierowie, oczyszczający z nich kraj, prawdziwą mu oddają przysługę. Nieraz też widzieć można samotne domki, stojące wśród lasów, a naokół domków uprawne już pola, które rok temu porastały jeszcze gąszczem leśnym. Dzień i noc słychać w tych okolicach huk siekiery, wystraszony zwierz i ptactwo cofa się coraz bardziej na zachód, z każdym dniem niemal nowe przestrzenie z mroku leśnego wychylają się na światło dzienne i oczekują tylko rąk i pługów, ażeby zamienić się w łany zbożowe.

Z tem wszystkiem, z tego, com się dowiadywał lub na com własnemi patrzył oczyma, mogę śmiało twierdzić, że Amerykanie rodowici nie są wogóle wzorowymi gospodarzami. Zbyt są ruchliwi, zbyt nie lubiący siedzieć na jednem miejscu, zbyt nareszcie pochopni do handlu. Dlatego jeżeli Amerykanin kupuje ziemię, kupuje ją najczęściej nie poto, żeby na niej osiąść i zostawić ją dzieciom i wnukom swoim, ale zwykle na spekulacyę. Spekulant nabywa

kawał lasu, lub dziewiczego stepu, co go bardzo mało, a czasem i nic nie kosztuje, ogradza go płotem, buduje dom, pogrzebie trochę ziemię i jako gotową już niby fermę, sprzedaje częstokroć z wielkim zyskiem emigrantom, lub też miejscowym kapitalistom. Trzeba bowiem wiedzieć, że o ile w Stanach, a przynajmniej w niektórych Stanach, ziemia rządowa dziewicza, nieuprawna jeszcze, sprzedaje się za niesłychanie nizkie ceny, albo może być i darmo objętą w posiadanie, o tyle znowu grunta już procentujące, położone zwłaszcza około wielkich miast, dochodzą do wartości, nigdzie w Europie nie spotykanych. Niejeden szczęśliwiec, który darmo objął tyle gruntu, ile mu się podobało, sprzedawał akr potem po pięćset i sześćset aż do tysiąca dolarów, jeżeli w pobliżu wyrosło nagle a niespodziewanie, jak się to często zdarza w Ameryce, jakieś wielkie i handlowe miasto. Tak stało się np. z gruntami, leżącymi koło Chicago, w Illinois, które niedawno rozdawał rząd, jako nic nie warte, weteranom w nagrodę zasług, a dziś idą prawie na wagę złota.

Wielu jednak spekulantów, dzierżących wielkie przestrzenie w pobliżu świeżo powstających miast, potraciło ogromne majątki, z miastami

bowiem nie robią sobie wiele ceremonii w Ameryce. Zdarza się, że miasto powstaje gdzieś na pustyni i rośnie przez niejaki czas jak grzyb, potem, bądź to miejsce okaże się niewygodne, bądź klimat niezdrowy, bądź wyczerpią się bogactwa naturalne okolicy, i mieszkańcy, niewiele myśląc, pakują na wozy żony, dzieci, rupiecie i ruszają, dokąd oczy poniosą, a miasto, jeszcze wczoraj kilkotysięczne, schodzi na nędzną osadę, albo i całkiem marnieje.

Kto jednak zajmie ziemię nie na spekulacyę, lecz dla uprawy, a ma przytem jakie takie środki, ten rzadko na niej traci. Często jaki emigrant, który całe życie klepał biedę w Europie, lub jaki rozbitek z burzy życiowej, pragnący ciszy i samotności, kupuje wóz, trochę inwentarza, machin rolniczych i sprzętów, potem zabiera żonę, dzieci i rusza na daleki Zachód w pustynię. Wybrawszy gdzieś miejsce, które mu się najlepiej podoba, zwykle w pobliżu lasu lub rzeki, buduje dom, ogradza kawał pola i osiada. Od tej chwili ziemia, którą objął, jest już niezaprzeczoną jego własnością, i każdego, ktoby się na nią targnął, czeka nie proces przed kratkami, ale kula w leb z ręki właściciela, lub jeżeli w pobliżu znajdują się na pustyni inne osady,

rządzące się prawem *lynch*, jeszcze straszniejszy wyrok z rąk regulatorów czyli wykonawców tego drakońskiego prawa.

Otóż tacy osadnicy rzadko dorabiają się milionów, ale też prawie nigdy nie tracą. Jeżeli nawet niema komu sprzedać zboża lub bydła, to niema wprawdzie pieniędzy, ale pocóż pieniądze na pustyni? Jest co zjeść, jest się w co odziać, dzieci wyrastają jak dęby, a dorósłszy, wylatują z gniazda i osiadają w pobliżu, i tak całość życia składa się dziko trochę, stepowo, ale spokojnie, bez troski niemal o jutro, i ani się człowiek obejrzy, jak przyjdą wieczorne dni i zachód słońca — życia, pogodny jak na stepie.

Często się jednak zdarza, że w pobliżu takiej osady na pustyni przybłąka się jakiś drugi osadnik, potem trzeci, dziesiąty, setny; ziemia, która przyszła każdemu za darmo, poczyna nabierać ceny, rosnącej nadzwyczaj szybko, i po kilku lub kilkunastu latach, ferma, która nic prócz pracy nie kosztowała właściciela, dochodzi do wartości setek tysięcy dolarów.

Owóż zdarza się różnie. Ale w Stanie New-York, przez który w kierunku wielkich jezior przebiegałem koleją, i wogóle w Stanach wschodnich niema już prawie wcale ziemi niezajętej

lub rządowej, czekającej na osadników. Każdy zakątek jest tu wiadomy i rozmierzony, wszystko jest w rękach prywatnych, a ziemia tak z powodu swej urodzajności, jak i z powodu niezmiernie ułatwionych stosunków komunikacyjnych, jest równie droga, albo i droższa, niż wszędzie w Europie.

Gospodarstwa jednak, jak wspomniałem, dalekie są od europejskich. Może być, że gdybym je był widział w lecie, wydałyby mi się lepiej i weselej, równie jak i cały krajobraz, który rozciągał się przed memi oczyma, zawsze równie jednostajny, płaski, szary, smutny, aż do samej Syrakuzy.

W Syrakuzie pociąg zatrzymał się pół godziny, dla *brekfestu*, czyli rannego śniadania, poczem ruszyliśmy dalej do Rochester, miasta leżącego nad samem Ontario. W miarę jak zbliżaliśmy się do Rochester, krajobraz nie zmieniał się wprawdzie, ale stawał się coraz niższy. Wielka obfitość wód na polach i lasach znamionowała blizkość jezior. Lasy miejscami zajmowały ogromne przestrzenie, ale po największej części zalane były wodą, co sprawiało złudzenie, jak gdyby drzewa wyrastały z jezior. Z okien wagonu widziałem tu i owdzie mniej-

sze lub większe stada ptactwa wodnego: kaczek dzikich, cyranek i mew, które aż tu zalatują z morza. Czasem las urywał się nagle, a droga biegła nizkiemi łąkami, porosłemi grubą trawą, tatarakiem i zwiędłą zeszłoroczną trzciną. Fermy dość gęste, gęstsze nawet niż wsie polskie, ale otoczone kałużami, wyglądały jeszcze smutniej niż przed Syrakuzą. Miejscami czarna, uprawna ziemia wydobywała się z pod topniejącego śniegu, błyszcząc napełnionemi wodą brózdami. Wiatr wiał cieplejszy; czuć było, jakby pierwszy oddech wiosenny w powietrzu, słaby jeszcze, ale już życiodawczy i rozpętujący wody z kajdan zimowych. W Rochester nakoniec zabłysnęła nam błękitna, olbrzymia toń Ontario. Sądziłem, że znów przyjechałem nad morze i że znów oglądam te bezbrzeżne przestrzenie, na których mdleje i gubi się wzrok. Droga idzie ciągle brzegiem, miejscami nawet tak blizko, że woda obmywa stopy kolejowego nasypu. Patrzącemu przez okno wagonu wydaje się wówczas, że pociąg biegnie po jeziorze. Niekiedy na błękitnem tle wody i nieba bieleje żagiel; czasem zdaleka, zdaleka, ukazuje się szara wstążeczka dymu, wychodząca z paszczy niewidzialnego dla oka parowca. Miejscami brzeg

oddala się od grobli i wchodzi płaskim obrębem w jezioro. Na obrębach stoją zwykle tuż nad wodą domki, po brzegach zaś kołyszą się poprzywiązywane do palów łodzie, szarpiąc niecierpliwie za sznury, jakby chciały urwać się i uciec na dalekie tonie. Sieci porozwieszane przed domami lśnią jeszcze wilgocią; pod sieciami leżą kupy zielska wodnego; dochodzi nas zapach łuski rybiej i tataraku. Stada ptactwa pławią się w powietrzu, to niknąc, to czerniąc się, nakształt krzyżyków, pozawieszanych w błękicie.

W ten sposób dojechaliśmy do Suspension-Bridge, gdzie zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i sławnych jej wodospadów. Pociąg ruszył dalej; rzeczy nasze powędrowały w kierunku Huronu, my zaś, razem z jakimś młodym Anglikiem, którego nazwiska nie pamiętam, najęliśmy konie i ruszyli przez most do wodospadów. Most ten oddziela Stany Zjednoczone od Kanady; na jednej więc jego stronie znajduje się komora amerykańska, na drugiej angielska; ponieważ wielki wodospad ze strony amerykańskiej jest nieprzystępny, trzeba więc przejechać w posiadłości królowej Wiktoryi. Jadąc już przez most, można widzieć całą szero-

kość obydwóch wodospadów, jednakże bądź to z powodu mglistego i dżdżystego czasu, bądź to z powodu siły, z jaką woda rozbryzguje się, spadając z takiej wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymie chmury mgły, wznoszące się z przepaści ku niebu. Ale straszliwy huk, wydobywający się z poza tej mgły, zwiastował doskonale, co się dzieje po za jej białawą zasłoną.

Przejechawszy most, stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów, stojących na wysokim niezmiernie brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzyć. Rzeczywiście, widok to, na którego wspomnienie mdleje i zwija skrzydła wyobraźnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie, spływając potężną gardzielą ku Ontario, traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest w tem wszystkiem jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność, niespotykana nigdzie, bijąca w oczy jakby straszliwym gwałtem zadawanym naturze. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że stało się tu coś okropnego, że to

jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu pochmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają, jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnemi po twarzy. Czasem mgła wybucha nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze, zmieszane z sobą, tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym. Zdaje ci się, że się tu wszystko wściekło. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać: »Dosyć już!« — a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością gardła wypluwa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy wołające o zmiłowanie; to znów niby śmiechy, przechodzące nagle w ryk wściekłości, rzekłbyś: to całe piekło rozpętane gzi się w straszliwej orgii wśród chaosu...

Takie wrażenie, a raczej takie przez pół tylko świadome siebie poczucie, wywołuje Niagara. Jest w tem poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze zapamiętanie się chwilowe, zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. Więc też, przezwyciężywszy pierwszy nieład pognębionych myśli, trudno potem oczy oderwać od tego widoku. Otchłań poczyna nęcić i wabić. Jakaś nieprzezwyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści; chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, nie oddzieloną nawet całem stałego gruntu. Chciałby pochylić się i zawisnąć, choćby przez chwilę, między życiem a śmiercią. A tam na dnie potworne skręty spienionej wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają się nakształt ramion gotowych objąć i porwać. Przepaść mówi: »Pójdź!« — ale po chwili instynkt odpowiada jej: »Dobrze, ale ze wszelkiemi ostrożnościami!«

Jakoż «ze wszelkiemi ostrożnościami» można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, między którego stroną wklęsłą a skałą znajduje się miejsce wolne, zawalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam się dostać, trzeba na-

przód przebrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna, który wynajmuje siebie i swoje kostiumy. W chacie murzyna zastaliśmy już jakąś parę angielską, robiącą również wodospadową toaletę. Stara, brzydka i chuda miss, przybrana w obrzydliwy płaszcz i kaptur z pęcherzów rybich, z pod którego widać było jej koniec nosa i złote okulary, wyglądała jak strach na wróble. My ubraliśmy się w podobneż płaszcze i kaptury, i wreszcie ruszyliśmy całą karawaną. Po chwili murzyn wprowadził nas do małego drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno bijące z lodów, leżących między skałą a wodospadem, i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie. Brzydkie murzynisko podobniejsze do goryla, niż do człowieka, szło naprzód, wołając kiedy niekiedy: «Ho! ho!» dla wskazania nam drogi w ciemnościach.

Nakoniec, po kilkudziesięciu schodach, blade światło, idące z dołu, uderzyło o nasze oczy. Weszliśmy do małej sionki, z której wyjście wiodło prosto pod wodospad, ale przewodnik zawołał: «Stop!» i począł przywiązywać do butów naszych podeszwy, podbite ostrymi żelaznymi

gwoździami. Angielska miss zdawała się uznawać to jako cokolwiek *shoking*, ale nakoniec dała się nakłonić, i spuściwszy oczy, czy też okulary, wyciągnęła skromnie do murzyna nogę, a raczej szpadę, mającą kilka cali szerokości, ale za to koło jednego łokcia długości. Potem weszliśmy pod wodospad. Nie wiem dlaczego, wewnątrz huk wydaje się mniejszy, niż zewnątrz; szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody, napełniając całą jaskinię ponurym jakimś półmrokiem, półblaskiem. Skała, stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich głazów lodu; wszędzie dziko i pogrzebowo. Wązkie wstążeczki wody, oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody; powietrze, przesiąkle mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem jak się tu dostaje, dmie jakby w kuźni dyabelskiej; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku, niepodobna się usłyszeć i zrozumieć. Po ogromnych i ślizkich jak szkło bryłach lodu zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesta, poruszenia ust, głos zaś ginął wśród ryku.

Nic piękniejszego, niż wodospad widziany od wewnątrz z dołu. Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które niekiedy dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potem spojrzałem na dół. Jakąż to niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody, spadające od wieków z takim impetem! Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem, istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca, odetchnąłem głęboko, jakby po nadmiernej pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne. Małe wstążeczki przeciekającej wody rozbijały się w brylantowe krople o lodowiska, z wdziękiem i łagodnością, stanowiącą prawdziwe przeciwstawienie temu sabbatowi, ryczącemu o kilkanaście kroków dalej. Oczy me tak dalece już oswoiły się z półmrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnej skały, również jak i kępki mchu, lśniącego wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze, ale tymczasem nasi Anglicy opóźniali powrót, pakując do wszyst-

kich kieszeni ułamki skały. Sądzę, że gdyby mogli, schowaliby do kieszeni całą Niagarę, aby ją przenieść do British Museum, tak jak to zrobili z akropolem greckim. Wyszliśmy wreszcie. Przez drogę towarzysz mój począł się kłócić z młodym Anglikiem, który dowodził koniecznie, że wodospad leży w Anglii, ponieważ Kanada jest Anglią; a kiedy wreszcie powiedzieliśmy mu, że Anglia, ustępując niedawno prawa rybołówstwa na jeziorach Amerykanom, zrzekła się niejako przez to prawa do jezior — umilkł, zły widocznie, czy rozgniewany, nie wiem, czy na jankesów, czy na nas. Wyszedłszy na zewnątrz jamy, na powierzchnię ziemi, nie ujrzeliśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy tuman mgły, którym było przesiąkłe całe powietrze. Zwiedziliśmy jeszcze domy, leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum, zawierające niezbyt osobliwe zresztą osobliwości Niagary, jako to: muszle, skamieniałości, kości zwierząt, porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym podobne. W rzeczywistości domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota rozmaite, niby pamiątkowe drobiazgi. Na dobitkę, sprzedaje je młoda i tak ładna miss.

że prawie niepodobna oprzeć się pokusie; każdy więc kupuje zwykle dziesięć razy więcej, niż zamierzał. Potem prowadzą jeszcze podróżnych na górę muzeum, gdzie jest mała wieżyczka, stanowiąca rodzaj obserwatoryum, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrada wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuskim, włoskim etc. Widziałem także napisy polskie i rosyjskie, każdy bowiem uważa sobie za obowiązek zostawić tu swoje nazwisko, również jak i datę odwiedzin.

Co do mnie, jako dobry kolega, przekazałem wiekopomnej nieśmiertelności na ścianie nietylko swoje nazwisko, ale i wszystkich znajomych, jakich na razie mogłem sobie przypomnieć, wszystkich kuzynek, kuzynów, a nawet ich potomstwa. Młody Anglik, obok swego imienia Henry, wypisał jeszcze imię Mary, poczem, otoczywszy wszystko nader skomplikowanym zakrętasem, oddalił się o kilka kroków, przypatrując się z zadowoleniem swemu dziełu. Potem zeszliśmy na dół, gdzie nas porwano, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut, razem z naszymi pęcherzowymi kostiumami, za co kazano sobie dobrze zapłacić. Tym-

czasem ściemniło się. Wodospad objawiał się coraz bardziej nieprzeniknioną zasłoną mgły; począł zacinać drobny deszczyk. Siedliśmy i pojechaliśmy napowrót do Suspension-Bridge. Na końcu mostu wpadli na nas celnicy amerykańscy, wymagając oclenia wszystkich zakupionych rupieci. Ale dolar, wsunięty w rękę naczelnika komory, uspokoił jego republikańską troskliwość o dochody Stanów Zjednoczonych, i ruszyliśmy dalej w spokoju. W Suspension-Bridge rzuciliśmy ostatnie spojrzenia na wodospady, które raczej już tylko słyszeć niż widzieć się dawały. Pociąg amerykański nadszedł wkrótce i ruszył przez Kanadę w sam kąt zachodni Ontario, do Hamiltonu, skąd ciągle Kanadą jechaliśmy na całą noc do Detroit, nad samym brzegiem Erie.

Kraj podnosił się bardzo nieznacznie, ale ciągle, Erie bowiem leży o sto kilka dziesiąt stóp wyżej nad Ontario. Niagara jest właśnie tylko zlewem wód Erie do Ontario, który to zlew, trafiwszy na skałę uciętą nagle, tworzy wodospad. Od Ontario znów grunt zniża się lekką pochyłością aż do Oceanu, z którym jeziora łączą się przez wspaniałą, najszerszą może na świecie, rzekę Świętego Wawrzyńca.

Rankiem nazajutrz przybyliśmy do Detroit, miasta leżącego w Michiganie, niedaleko Erie, nad rzeką łączącą wody Huronu z Erie. O tem Detroit wiedziałem z geografii tylko, że istnieje, więcej nic. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy wyszedłszy z dworca na ulicę, ujrzałem miasto ogromne, niezmiernie schludne i tak piękne, jakiego dotąd nie widziałem w Ameryce. Godzina była ranna, więc wszystko spało jeszcze. Szliśmy wielką ulicą, pełną kościołów, jak się zdaje, katolickich. Po obu stronach ulicy stały nie zwykłe z czerwonej cegły domy, ale śliczne pałacyki, oddzielone od ulicy złoconemi sztachetami. Za sztachetami widać było klomby zieleniejących już kwiatów, jodły i ciemnozielone piramidalne świerki, między którymi odbijały wdzięcznie białe ściany i umalowane różową zorzą wielkie szyby pałacyków. Gdzieniegdzie przed domami murzyni robili porządek, śpiewając zcicha i paląc fajki. Wyszliśmy na obszerny plac, stanowiący rynek miejski. Na środku jego wznosił się piękny posąg któregoś z generałów ostatniej wojny z Południem. Naokoło zwykłe już kamienice, ale wspaniałe i ozdobne, z ogromnymi sklepami, których okiennice nie były pozamykane. Rynek wrzał już życiem. Wozy zaprzężone mu-

łami hurkotały po bruku, wioząc drzewo. Wróciliśmy wreszcie na dworzec. Pociąg odchodził za pół godziny; mieliśmy więc jeszcze czas zjeść śniadanie, na które dano nam bardzo dobrą zupę ze ślimaków, gotowanych na mleku. Do śniadania usługiwał nam metys. Pierwszy to raz widziałem człowieka, w którego żyłach płynęła krew indyjska. Był to dżentleman dobrego wzrostu, o czerwonawej skórze, grubych prostych włosach, tak czarnych, że przechodziły aż w kolor błękitny, i dobrotliwej twarzy. Czoło miał wązkie, kości policzkowe trochę wystające, zresztą rysy dość regularne, przypominające twarze naszych druciarzy. Za każdem wydanem mu zleceniem powtarzał z powagą: «Yes, sir!» i usługiwał równie zręcznie, jak szybko. Kiedy po śniadaniu wsunąłem mu, sprzecznie ze zwyczajami amerykańskimi, w rękę napiwek, spojrzał nań, potem zawoławszy: «O! yes sir!» uśmiechnął się uradowany, i z własnej ochoty zaniósł nam futra i podróżne torby do wagonu.

Ruszyliśmy przez Stan Michigan, ku jezioru tegoż nazwiska, nad którego południowo-zachodnim krańcem leży Chicago. Kraj, przez który przejeżdżałem, niezmiernie podobny do Prus polskich. Mnóstwo większych i mniejszych jezior,

rzek, strumieni, nadzwyczajna obfitość wód; słowem, wszędzie widać, że jest to jedno wielkie pojezierze, ponad którem przed wielu laty szumiały fale. Lasy wszędzie dość wielkie. Blizkość wielkich zbiorów wody działa widocznie ocieplająco na klimat, bo śniegu nie widzieliśmy prawie nigdzie, drzewa po lasach wypuszczały pędy wiosenne, a trawa zieleniała na nizkich łąkach. Niekiedy zapuszczałem wzrok w głąb kraju, ciekaw, czy nie ujrzę gdzie czerwonoskórych, których liczne pokolenia żyły niedawno jeszcze koło jeziora, a jedno z nich zostawiło w nazwie Huron wieczną po sobie pamiątkę; ale znikły nawet ich ślady. Niema ich nietylko w Michigan, ale w sąsiedniem Ohajo (Ohio), Indyanie i Illinois. Indyanin, dzik, niedźwiedź, kujota i jaguar ustępują coraz dalej i dalej na zachód przed białymi lub giną w rozpaczliwej z nimi walce.

We dwadzieścia cztery godziny po wyjeździe z Detroit, przybyliśmy wreszcie do Chicago. Ogromne to miasto leży na południowo-zachodnim brzegu jeziora Michigan i stanowi port dla wszystkich statków krążących między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi. Przed kilku zaledwie laty było prawie zupełnie zniszczone

przez pożar; odbudowywa się jednak na nowo z niepojętą szybkością. Wszelako tu i owdzie widać jeszcze ślady pożogi. Gdy przyjechaliśmy, zapadał wieczór; mimo to natychmiast wyszedłem z hotelu na ulicę. Po rozczarowaniu, jakiego doznałem w New-Yorku, po brudach i nieładzie osławionego Empire City, Chicago robi wrażenie przyjemne i majestatyczne. Miasto imponuje. Ulice nadzwyczaj szerokie, domy wszędzie ogromne, poważne, budowane i urządzone z przepychem; chodniki wysoko wzniesione nad poziom ulicy, zadziwiają szerokością i ogromem płyt kamiennych, z których są ułożone. Słowem, wszystko to ogromne; rzekłbyś: miasto zbudowane przez olbrzymów i dla olbrzymów. Ma ono swoje cechy oryginalne. Znać, że jest nowe, budowane według najnowszych wymagań. Czytałem niegdyś opis fantastyczny miast takich, jak one będą wyglądały w wieku XX-tym. Otóż Chicago przypominało mi ten opis. Wszystko tu prawidłowe, prostopadłe, prostokątne, wszystko pod sznur; wszędzie nieznane jeszcze gdzieindziej ulepszenia. Po wszystkich ulicach krzyżują się szeregi słupów telegraficznych, o ogromnej ilości drutów. Na sznurach, również drucianych, poprzeciąganych między domami w po-

przek ulicy, wiszą szyldy z rozmaitymi napisami. W mroku wieczornym, który nie dozwalał dojrzeć drutów, szyldy owe wydawały się, jak gdyby zawieszone w powietrzu. Spojrzawszy w głąb ulicy, widzisz ich całe szeregi większych i mniejszych, o rozmaitych barwach; rzekłbyś: miasto przystroiło się chorągwiami, jakby na jaką uroczystość.

Na chodnikach ruch ogromny. Tłumy ludzi białych i kolorowych biegną w rozmaite strony, z tym czysto amerykańskim pośpiechem, oznaczającym zacietrzewienie się handlowe; środkiem ulicy ciągnie mnóstwo powozów i fiakrów, słychać dzwonki tramwajów, nawoływania woźniców; wszędzie ścisk i wrzawa, świadcząca o wielkiej bujności życia tego młodego miasta. Wieczór wreszcie zapadł zupełny, ale widno było jak w dzień od tysiącznych płomieni gazowych. Wystawy olbrzymich sklepów płonęły, jakby istne ogniska. Wybrawszy pierwszą lepszą ulicę, szedłem dokąd mnie oczy poniosą. W niektórych miejscach szeregi domów przerywały się nagle, a natomiast widać było puste place, pokryte okruchami cegły i rumowiskiem, oznakami niedawnego pożaru. Miejscami zdawało się, że tu zakładają nowe jakieś olbrzymie miasto. Jakem

okiem mógł dojrzeć, rusztowania i rusztowania, niewykończone domy, spoglądające pustemi jamami okien, wszędzie mury spiętrzone jedne nad drugimi, stosy cegły i wapna; aż oto dalej znów ulica, już wybudowana i wykończona, słychać turkot i wrzawę ludzi, błyszczą płomienie gazowe: słowem, miasto odrodzone jak Feniks z popiołów.

Co przedewszystkiem uderza w tych miastach amerykańskich, to ich żywotność, a zarazem nieprawdopodobna niemal energia mieszkańców. Przyszedł pożar, niesłychany w nowszych czasach: miasto spłonęło jak nabój prochu; mieszkańcy rozproszyli się, handel upadł, przemysł również; majątki poszły w ruinę, ludzie zostali bez dachu, chleba. Potem upłynęło kilka lat: miasto już stoi na dawnem miejscu; czterysta tysięcy mieszkańców znajduje w niem pracę i życie; wznoszą się domy, pałace, kościoły, fabryki, hotele, sklepy; kwitnie zamożność, wre ruch, praca i życie; za kilka jeszcze lat już i śladów pożogi nie będzie,—a gdy spali się miasto jeszcze raz, to odbudują go jeszcze raz, jeszcze dwa i dziesięć razy, bo energia tych ludzi przezwycięża wszelkie nieszczęścia i wszelkie wypadki.

Nadzwyczajny swój wzrost zawdzięcza jednak Chicago, prócz energii mieszkańców, jeszcze

i przepysznemu położeniu handlowemu. Leżąc nad Michiganem, tą królową jezior; panuje nad całym systemem wód, łączących Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi. Cały handel owych mórz wewnętrznych leży bezpośrednio w jego ręku. Można rzec, że jest to port położony we wnętrzu lądów, dlatego też ciągnie jednocześnie korzyści tak z lądowego, jak i portowego swego położenia. Następnie, jako wielkie miasto, najdalej wysunięte na zachód na kolei dwóch Oceanów, łączy New-York z San Francisco, cywilizacyę z dalekim zachodem. Wschód wysyła produkta swego przemysłu, zachód produkta naturalne, Chicago zaś jest wielkiem targowiskiem, gdzie się odbywa wymiana.

Idąc ulicą, kędy mnie oczy niosły, wszedłem w dzielnice pustsze i cichsze. Potem miasto urwało się, jakby ucięte, a natomiast zobaczyłem toń Michiganu. Osrebrzone światłem księżyca fale łamały się o nizki bulwark, tuż pod memi nogami. Zdala szumiał gwar miasta, a tu spokojniej było, przestronniej, powietrzniej, ciszej, tylko plusk wody, a niekiedy gwizdanie dalekiego parowca, przerywały uroczystą i bardzo poetyczną ciszę.

Wróciłem wreszcie do hotelu, tak zwanego Palmerhouse, gmachu zbitego z wielkich płyt

marmurowych, z prawdziwie babilońskim przepychem. Wszystko kapie tu od złota, jedwabiów i aksamitu. Oczy moje, nawykłe przed chwilą do pustej i mrocznej przestrzeni wód, mrużyły się pod nadmiarem światła i owego zbytku, kipiącego jak bukiet piany na kielichu szampana. Ale też ten hotel to największa osobliwość Chicago. I tu, jak we wszystkich miastach Ameryki, niemasz pamiątek historycznych, zaklętych w kamień lub marmur zabytków przeszłości: kościołów, muzeów. Wszystko to nowe, dzisiejsze; wszędzie «jutro» jest wszystkiem, a «wczoraj» znaczy pustynię, odwieczne lasy i wielką ciszę pustyni.

Następnego dnia oglądaliśmy jeszcze miasto, naprawdę jednak do poznania większości amerykańskich miast kilka godzin wystarcza, niewiele więc widzieliśmy nowego. Ale dzień upłynął znowu; nazajutrz świtaniem puściliśmy się w dalszą drogę.

Illinois, przez którego północny kraniec jechaliśmy dzień cały, jest krajem uprawnym, gęsto zaludnionym, którego całą różnicę od poprzednio opisywanych Stanów stanowi coraz większy brak lasów i wogóle drzew, co okolicom smutny nadaje pozór. Po obu stronach ko-

lei widać jednak fermy, stojące jedna przy drugiej, i uprawne pola.

Tak w Illinois, jak i w leżącym na północ Wisconsin, istnieją dosyć znaczne osady polskie [1]), zamieszkane po największej części przez chłopów, zostających pod wodzą proboszczów. Osady te, chociaż dosyć ludne, są przecież mniej więcej ubogie, mieszkańcy zaś tu i owdzie żyją z ograniczeniem wielu potrzeb i tęsknią do kraju. Przyczyną tego jest brak znajomości języka, zwyczajów i wogóle warunków miejscowych, bo zresztą ziemia urodzajna i wielka obfitość komunikacyi zapewniają osadom wszelkie warunki pomyślności i rozwoju.

Po upływie dwunastu godzin, przybyliśmy na granicę Illinois i Jowa, do stacyi, a raczej osady Clinton, leżącej tuż nad brzegiem Mississipi.

Był zachód słońca. Wspaniały, lubo niezbyt jeszcze w tem miejscu szeroki »Ojciec wód», błyszczał w olbrzymich skrętach i rozkrętach, jakby ogromna, złota wstęga, niknąca w dali w ciemnych lasach. Brzegi jego zarosłe dziko

---

[1]) Szczegółowe o nich wiadomości patrz w osobnym liście.

i malowniczo. Znać niewiele jeszcze lat upłynęło, jak biały człowiek położył swą żelazną rękę na tej okolicy. W samym Clintonie drewniane domy jeszcze nie zczerniały od słońca i od wiatru. Osada to jakby wczoraj dopiero założona; nieliczne domy stoją na czarnem błocie; tu i owdzie świecą wielkie kałuże. Stosy wiórów leżą jeszcze przed domami. Dalej widać rozpoczęte budynki, kupy desek i pni wyciętych w nadbrzeżnych lasach. W niektórych pniach sterczą krzywe pionierskie siekiery; wszędzie nieład i nieporządek, jak zwyczajnie w osadzie, która się dopiero wznosi. Nieporządek ten powiększa jeszcze kręcące się bydło i trzoda chlewna, uwalana w czarnem błocie, podnosząca za zbliżeniem się pociągu chrapliwe nozdrza z kałuży. Pierwsza to osada, w której znać życie czysto pionierskie, ale kto wie, czy za lat kilka nie zmieni się w znaczne miasto, czemu położenie na przecięciu się wielkiej kolei z Mississipi, bardzo sprzyjać się zdaje.

Na wodach «Wielkiego ojca» wszędzie widać ruch ogromny. Widziałem galary, komięgi i szuhaleje, obładowane rozmaitym towarem, spławianym prawdopodobnie do St. Louis, a może i dalej. Flisacy i majtkowie tych statków, przy-

brani we flanelowe koszule i w obdarte kapelusze, silni, wysocy, przedstawiają doskonały typ Amerykanów kresowych, żyjących na pograniczu cywilizacyi i pustyni, o których tyle zdarzyło mi się czytać w powieściach Coóper'a, Bret-Hart'a i innych. Ich zarosłe podgardla, energiczne twarze, rewolwery sterczące w tylnej kieszeni spodni, — wszystko to nadaje im pozór jakiś istotnie powieściowy, romantyczny i nawpół rozbójniczy. Płyną po największej części z Wisconsin, albo z dorzeczy «Wielkiego ojca wód», po których brzegach życie jest jeszcze dzikie i stepowe. Znać też po nich to życie: piją dużo i biją się o lada co; namiętności ich niepohamowane wybuchają za lada powodem; ale zresztą są to ludzie uczciwi i sprawiedliwi, lubo sprawiedliwość ich, w stosowaniu prawa do innych, na okrucieństwo czasem zakrawa.

Jowa jednak należy już do Stanów ucywilizowanych, a Wielki Zachód właściwie rozpoczyna się dopiero za Missouri, od dość dużego miasta Omaha, przez które także przechodzi kolej dwóch Oceanów. Nie chcąc jednak uprzedzać geografii w opowiadaniu, wracam do Clintonu. Po półgodzinnym przystanku pociąg wyrusza dalej. Droga idzie teraz krajem zupełnie

bezleśnym i podnosi się ciągle, zbliżamy się bowiem do olbrzymiego płaskowzgórza, obejmującego cały środek Stanów Zjednoczonych, a stanowiącego stepy, czyli tak zwane tu prerye. Po obu stronach drogi mkną jeszcze fermy, ale już rzadsze niż w Illinois.

Miejscami, przy świetle księżyca widzę pola zasiane kukurydzą, której wysokie łodygi czarne, zwiędłe i smutne, sterczą jeszcze od przeszłego lata. W miarę, jak pędzimy na Zachód, kraj staje się coraz pustszy. Jowa, lubo przecięta już kolejami na wszystkie strony, stanowi niby przedsionek tej olbrzymiej pustyni, obejmującej przestrzeń od Missouri aż do Sierra Nevada. Kraj równy wszędzie, płaski, miejscami tylko powyginany w lekkie doliny i wzgórza. Drzewa nigdzie ani śladu. Oko gubi się w oddaleniu, nie znalazłszy przedmiotu, na którymby mogło spocząć. Krańce cywilizacyi znać nawet i po towarzystwie, jakie zapełnia wagony. Zamiast starannie przybranych, mniej więcej eleganckich gentlemanów, pociąg napełnia się jakiemiś brodatemi i wąsatemi postaciami, w podartem odzieniu, z brudnymi węzełkami rzeczy przy sobie i z rewolwerami za pasem. Rozmowa wre głośna i burzliwa; czasem słychać klątwy; kłęby

dymu unoszą się pod sklepieniem wagonów; drzwi trzaskają, otwierane i zamykane silnemi rękoma; w rozmowach słychać często powtarzające się nazwiska Sioux i Pawnis, a nazwy te oznaczają Indyan, zamieszkujących Nebraskę i Dakotę.

Sądziłem, że im dalej na zachód, tem pociąg będzie stawał się pustszy, tymczasem ze zdziwieniem spostrzegam prawdziwe tłumy czekających na każdej stacyi. W wagonach w końcu zrobiło się tak ciasno, iż nikt nie mógł się poruszyć. Po europejsku rzeczy biorąc, było to towarzystwo jak najgorsze. Zawsze owi brodacze z rewolwerami sterczącymi w tylnej kieszeni, ale o twarzach coraz dzikszych. Tłum ten i wogóle cały ów ruch wydał mi się czemś niezwyczajnem; dlatego usłyszawszy tuż obok mojej ławki podróżnego, mówiącego po francusku, pytałem; coby to znaczyło? Odpowiedział mi, że wszyscy ci ludzie ciągną do Omaha, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór, gdzie świeżo odkryto kopalnię złota. Byli to więc minerowie, albo raczej awanturnicy wszelkich stanów, którzy porzucili inne zajęcia dla spodziewanych bajecznych zysków w górach. Podróżny Francuz mówił mi, że mnóstwo takich partyi już

się udało ku Black Hills, a codzień nadciągają jeszcze nowe. Nie brak w nich nawet kobiet z dziećmi przy piersiach, które czasem jadą same, a czasem towarzyszą mężom. Na bocznych kolejach Jowy panuje ruch podobny; słowem, we wszystkich pogranicznych stanach słyszysz tylko okrzyk: «Black Hills! Black Hills!»

A tymczasem ten raj wymarzony niejednemu grobem się stanie, tak bowiem cały kraj wokoło, jak i Czarne Góry, są własnością Siouxów, najliczniejszego z plemion indyjskich na północy, mogącego wystawić dziesięć tysięcy wojowników. Własność Czarnych Gór była im przyznana i zagwarantowana dawniej jeszcze przez rząd Stanów Zjednoczonych; dlatego topór wojenny długo leżał pogrzebany między czerwonymi a białymi. Ale teraz rzeczy się zmieniły. Tłumy białych awanturników, nie pytając o układy rządowe, rzuciły się w góry. Rząd wprawdzie w takich razach nie daje im opieki, ani posyła wojsk na ich obronę, ale awanturnicy, zbrojni i przywykli do boju z Indyanami, mniej jeszcze dbają o pomoc, niż o układy, i zabierają co im się podoba. Taki stan rzeczy, który zresztą w całych Stanach jest ogólny, przyprowadził Indyan do rozpaczy.

Napróżno wysyłają poselstwa, które pergaminami, pieczęciami i podpisami dowodzą swej własności. Rząd nie ma siły wstrzymać awanturników, a co większa, gdy kraj jest już zajęty, gdy powznoszą się fermy i miasta, rządowi nie pozostaje nic innego, tylko usankcyonować zabór i doliczyć do Stanów jedno więcej terytoryum. Tak dzieje się w Dakota, w Nebrasce, w Kansas, w Indian Territory, słowem: wszędzie. Rząd wyznacza dzikim ziemię, a biali ją zabierają, i wytępiwszy Indyan, zakładają nowe Stany. Ale wobec tego, cóż pozostaje czerwonoskórym? Oto wojna i wojna, bez nadziei zwycięstwa, tylko o śmierć. Dziś czerwoni wojownicy wiedzą już, że nie wytrzymają boju z «Długimi Nożami«, jak nazywają białych, idzie więc im o to, aby nie zginąć bez zemsty i żeby na tamtym świecie złożyć u nóg Wielkiego Ducha jak najwięcej krwawych skalpów, zdartych z głów najeźdźców. Krótko mówiąc, rasa ta dzielna, choć dzika, ginie nieubłaganie na całej przestrzeni Stanów. Z cywilizacyą, która zresztą pod najgorszą postacią im się przedstawia, pogodzić się nie umieją i nie mogą, więc cywilizacya ta ściera ich z powierzchni ziemi równie nieubłaganie, jak brutalnie.

Teraz przyszła kolej na Siouxów. Wojownicy ich pomalowali się ochrą i stanęli w gotowości do boju, który obecnie już się rozpoczął. Gazety są przepełnione opisami dramatycznych zajść w Czarnych Górach, a opisy te, częstokroć umyślnie przesadzone, podsycają tylko nienawiść białych, i zamiast odstraszać, zachęcają tylko wszystkie niespokojne duchy do szukania krwawych awantur i do zemsty nad czerwono-skórymi. Niektóre z tych wieści brzmią jak prawdziwe romanse. Oto naprzykład słyszałem opowiadanie o pewnej pannie, pięknej jak lilia i bogatej, która wyszła za mąż, wbrew woli rodziców, za ubogiego emigranta. Rodzice nie dali nic, małżeństwo żyło więc w biedzie. Piękna Nelly prała białemi rączkami bieliznę, młody małżonek zaś był pedlarem, to jest nosił i sprzedawał po domach towary. Aż przyszły wieści o kopalniach w Black-Hills. Niewiele myśląc, młody małżonek zabrał ukochaną Nelly i puścił się w góry. Raz ze strzelbą na ramieniu, oddalił się od obozowiska, aby coś upolować na wieczerzę — i już nie powrócił. Nelly pozostała sama, bez opieki i środków ratunku, wśród awanturników najgorszego gatunku. Szczęściem, w bliskości obozu, co wieczór błyszczało ognisko tra-

perów, to jest stepowych strzelców, którzy całe życie włóczą się po preryach, polując i walcząc z Indyanami. Otóż pewnej nocy przy ognisku traperów zabłysła blada twarzyczka Nelly.

— Jestem sama, biedna i zmęczona — rzekła im. — Kochałam, ale czerwonoskórzy porwali mi tego, któregom kochała. Udaję się do was. Przyjmijcie mnie, bom samotna, i ratujcie, bom nieszczęśliwa!

Półdzikie serca starych traperów poruszyły się litością. Nie tylko przyjęli biedną Nelly, ale pokochali ją jak córkę i strzegli jak źrenicy w oku. Zaraz nazajutrz ruszyli na poszukiwanie zaginionego oblubieńca i znaleźli go w wigwamach Siouxów, schorzałego, zbitego, bliższego śmierci niż życia, a bliższego śmierci tembardziej, że pal męczarni dla niego stał już przed wigwamem wodza gotowy. Traperowie nocą przyczołgnęli się tuż pod namioty, i podniósłszy okrzyk wojenny, uderzyli na czerwonoskórych. Z pomocą szesnastostrzałowych karabinów, wkrótce ułatwili się z Indyanami. Oblubieniec był ocalony, ale bohaterska Nelly otrzymała śmiertelny postrzał w piersi z ręki uciekającego Indyanina. Konającemi usty pożegnała się z oblubieńcem, ze swymi «ojcami» i zmarła. Odtąd oblubieniec

przestał już złoto kopać, traperowie porzucili myśliwstwo, i całe swe życie poświęcili tylko zemście. Wielu już indyjskich obozowisk popioły wiatr rozwiał, wielu wojowników poszło polować na niebieskie stepy do Wielkiego Ducha, wiele zginęło skwawów i dzieci, ale mściwi traperowie nie porzucili jeszcze krwawego dzieła, i dotąd nocami krążą, nakształt wilków lub złych duchów, koło indyjskich wigwamów.

Taka jest historya Nelly, godna pióra Cooper'a lub Gabryela Ferry. Niezawodnie prawdy w niej niewiele, a może i nic wcale; to tylko pewna, że na owe gorączkowe stosunki, wśród których miała wykwitnąć, patrzałem własnemi oczyma. W wagonach, pędzących do Omaha, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór, nie brakowało nawet i dobrych myśliwców, o jakich wspomina historya Nelly. Kilku z nich siedziało spokojnie w smoking-wagonie, kurząc fajki lub drzemiąc. Ubrani byli w futrzane czapki, w pasy ze skóry bawolej i w futrzane kaftany. Obok jakiś długowłosy gambuzino wygrywał na gitarze. Chwilami zdawało mi się, że śnię lub czytam powieść. Nagle jeden z moich zmysłów, podrażniony w okropny sposób,

przekonał mnie, że wszystko to jest najregularniejszą rzeczywistością.

Było to jeszcze w Jowa, ale już na zachodnim jej krańcu i pośród nocy. Wjechaliśmy w okolicę skunksów, i czy to pociąg przejechał jedno z tych zwierzątek czy też znajdowało się ich mnóstwo w pobliżu, dość, że tak okropny zaduch napełnił wagony, iż prawie niepodobna było oddychać. Osłoniwszy nosy chustkami, czuliśmy tę obrzydliwą woń nawet w ustach. Próbowałem otworzyć okno: było to jeszcze gorzej. Chciałem przynajmniej wynagrodzić sobie przykrość widokiem zwierzątek, ale przez okno wagonu widziałem tylko step, porosły wrzosem i oblany światłem księżyca, zresztą ani żywej duszy. Francuz mówił mi, że na najbliższej stacyi zapewne je mają, żywe lub przynajmniej skóry, że zatem będę je mógł widzieć. Stąd wpadliśmy na rozmowę o tych zwierzętach. Skunks, a raczej dość brzydko nazwany po polsku: śmierdziel amerykański, jest to dość duże, mające około jednej stopy długości, zwierzę drapieżne z rodzaju kun. Żywi się ptakami, jajami, oraz niszczy mnóstwo szczurów, chomików, ziemnych wiewiórek i świstaków czyli stepowych piesków, i z tego względu jest nawet

pożyteczny, zwierzątka te bowiem robią ogromne szkody w polach. Niektóre gatunki, a mianowicie tak zwany czarny skunks, dostarcza dość drogich i pięknych futer, które dobrze są znane w Warszawie. Ale skunksy z Jowy są łaciaste, białe z czarnem, lub nakrapiane biało na grzbiecie, pod brzuchem zaś i na piersiach zupełnie białe.

Z przyczyny tej pstrocizny, skóry są na nic nieprzydatne, nikt więc na nie nie poluje, i dlatego mnożą się, jak im się samym podoba. Między zwierzętami nie mają groźnych nieprzyjaciół, a raczej mają doskonałą broń przeciw najgroźniejszym, w owym okropnym zapachu i w łatwości, z jaką zatruwają nim przy każdem silniejszem wzruszeniu powietrze. Francuz, który dobrze znał zwyczaje indyjskie, spędził bowiem między czerwonymi czas dość długi, zapewniał mnie, że Indyanie jednakże jedzą je z wielkim apetytem. Z początku nie chciałem temu wierzyć, teraz jednak przekonałem się, że tak Indyanie, jak Chińczycy jedzą wszystko, co tylko jest dość miękkie, żeby się dało pogryźć.

Po pół godziny drogi przejechaliśmy wreszcie tę zapowietrzoną okolicę skunksów. Przez okna

wagonu wpływało czyste, chłodne stepowe powietrze. Ale też i noc poczęła blednąć. Na wschodnim krańcu nieba zjawił się biały pasek przedświtu. Nie był on jeszcze świetny, ani złoty, ani różowy, ale już zdawał się mówić stepom i niebu: *„Fiat lux!“* Wyszedłem na platformę wagonu. Długa, smutna droga kolei, ginąca w oddali z szeregiem słupów telegraficznych w kształcie krzyżów, coraz więcej wychylała się z cienia. Zresztą nie witały tu brzasku ani głosy ptaszków, ani szmer liści, błyszczących od rosy porannej. Okolica tu martwa, pusta, bez drzew i wody. Ciszę przerywał tylko gorączkowy oddech lokomotywy, która zdawała się pożerać przestrzeń z jakąś zawziętością i gniewem.

Długo jeszcze wpatrywałem się w drogę, którą, wychyliwszy się z wagonu, mogłem widzieć doskonale, aż do krańców horyzontu. Nic smutniejszego nad taką drogę na stepie. Do słupów telegraficznych przybijają tu u góry poprzeczne ramię dla dzwonków, co, jak wspomniałem, słupom nadaje kształt krzyżów. Otóż spojrzawszy naprzód, widzisz tylko szarą, nieskończoną, równinę, porosłą wrzosem, potrząśniętą miejscami śniegiem, a na równinie krzyże

i krzyże, jak okiem dojrzysz, całe szeregi smutne, cmentarne — i nic więcej, prócz tych krzyżów, które zdają się być szlakiem, wiodącym w krainę śmierci, lub mogilnikami na grobach wędrowców.

Bo też i są nagrobkami. Stoją one na mogiłkach pierwotnych dzieci tej ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się zjawi, tam giną ludy, lasy, bizony, ginie dziewiczość ziemi, a wczorajsza wielka cisza zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych. Na grobach Indyan uczony profesor wykłada prawo narodów; w legowisku lisa zakłada kancelaryę adwokat; tam, gdzie wilk mieszkał, duchowny pasie owieczki — i hejże ha! owa ludzka gonitwa za wszystkiem, co wydaje się szczęściem, gonitwa tak skuteczna, jak psa za własnym ogonem.

Ale nim te wszystkie Schopenhaurowskie i Hartmanowskie myśli przeszły mi przez głowę, zrobił się dzień prawie zupełny. Światło w wagonach stawało się coraz więcej różowe, aż wreszcie omdlało zupełnie. Zbójeckie twarze awanturników wydawały się blade i pomęczone; tymczasem pociąg stanął: dojechaliśmy do Ket-

chum, małej stacyi, leżącej na skraju Jowy, niedaleko od Omaha.

I tu czekały nowe tłumy awanturników, tak, że musiano przyprzęgać wagony, co zabrało sporo czasu. Była to dla mnie prawdziwa radość, połączona z niespodzianką, w Ketchum bowiem ujrzałem po raz pierwszy dzikich Indyan.

Wysiadłszy z wagonu, natychmiast dostrzegłem o kilkanaście kroków od stacyi sporą kupkę ludzi, tworzących koło i przypatrujących się czemuś z ciekawością. Spytałem: coby to miało znaczyć? Odpowiedziano mi, że jest to poselstwo Siouxów, jadące na wschód do Granta, lub co prawdopodobniej do gubernatora Jowy, lub nakoniec jakiegoś generała, głównodowodzącego wojskami koło Black-Hills. Inni twierdzili, że są to Indyanie wezwani na wystawę do Filadelfii. Wyszukałem mego Francuza, który umiał po angielsku, po siouxowsku, słowem: Bóg wie po jakiemu, i obaj pobiegliśmy natychmiast do Indyan. Sześciu wojowników, niemłodych już, siedziało w kuczki, koło ogniska, ułożonego z suchych wrzosów. Ubrani byli potrosze w skóry, a potrosze w lichą odzież europejską, lub w derki z literami U. S. (United States), które rozdaje im

rząd Stanów. Niektórzy mieli włosy rozpuszczone, równe, proste, czarne i twarde; inni pozatykali w nie pióra i kawałki wstążek, lub innych jaskrawych materyi. Po największej części byli uzbrojeni w kentuckie rajfle, wszyscy zaś mieli małe siekierki, zwane przez nich tomahawkami, i większe lub mniejsze noże. U pasa niektórych wisiały skalpy, to jest włosy zdarte razem ze skórą z głów nieprzyjaciół; włosami tymi były także ozdobione szwy ich ubioru. Siedzieli spokojnie, nieruchomo i milcząco, zupełnie jakby bronzowe posągi. Tłumy otaczające ich były wogóle usposobione nader nieprzyjaźnie; ciągle można było słyszeć: *Goddam you! Pest on you!* — i inne narodowe przekleństwa. Ale właśnie od tej niesforności białych dziwnie odbijał spokój czerwonych wojowników. Nie patrzali na nikogo, nie dziwili się niczemu; twarze ich były spokojne, jakby pogrążone w zamyśleniu, wyraz zaś oczu do najwyższego stopnia obojętny, powiem nawet: apatyczny.

Jednakże Indyanie mają tak gwałtowne namiętności, jak wszystkie dzieci przyrody; ale, wedle wyobrażeń indyjskich, niewiasta tylko lub lichy i niegodny tej nazwy mężczyzna okazuje, co się dzieje w ich duszy. Prawdziwy wo-

jownik umie panować nad sobą; podczas gdy w duszy jego wre zwierzęca wściekłość, umie spoglądać na swą ofiarę owym spokojnym wzrokiem, od którego krew krzepnie w żyłach. Nawzajem, gdy nieprzyjaciele, schwytawszy go, przywiążą do pala męczarni, wówczas nie zdradza bólu najmniejszem drgnieniem muskułu; przeciwnie: powinien wówczas podniecać ich wściekłość obelgami i wspomnieniem krwawych krzywd, które im w życiu uczynił.

Takie są wyobrażenia indyjskie. Oczywiście, istnieje zapewne bardzo mało wojowników, którzy mają dość siły woli, aby w danym razie odpowiedzieć godnie powyższemu ideałowi. O Siouxach mówią nawet, że nie są tak waleczni, jak Apaczowie i Komanczowie, mieszkający na południu [1]). Bądź co bądź, jednak i oni starają się zastosować przynajmniej pozory owego stoicyzmu, stanowiącego dziwną i przedziwną cechę tej rasy nawpół dzikiej jeszcze, która jednak

[1]) W czasie wojny, która wkrótce potem wybuchła, Siouxowie zadali kłam temu mniemaniu, wódz ich bowiem, Siedzący Byk, pokonał w krwawej bitwie wojsko amerykańskie pod wodzą generała Custera, który zginął. W rezultacie Siouxowie zostali zwyciężeni. Siedzący Byk schronił się do Kanady.

wytworzyła pewne pojęcia i wyobrażenia, właściwe tylko ludom, bardzo wysoko rozwiniętym umysłowo.

Z tem wszystkiem jednak wojownicy Siouxów nie odpowiedzieli zupełnie temu ideałowi Indyanina, jaki wyrobiłem sobie, czytając powieści Cooper'a, Bellemare'a i Sp. Po bliższem przyjrzeniu się im, wyglądali obdarto, nadzwyczaj brudno i niechlujnie. Wydawali przytem zapach mało co lepszy od skunksów, który jednak, szczęściem, łagodzony był przez dym palących się wrzosów. Gdyśmy zasiedli razem z Francuzem bez wszelkich powitań i ceremonii przy ognisku, twarze wojowników pozostały równie nieruchome; nie obdarowali nas ani jednem spojrzeniem. Gdy jednakże wydobyłem sporą paczkę cygar i czekolady, i gdy Francuz oświadczył (co mi wytłómaczył później), iż: młody wojownik z Północy, który należy do innego pokolenia białych, przyjaznego czerwonym, przychodzi zawrzeć znajomość z czerwonymi braćmi i składa im podarki, — stoicyzm wojowników zniknął jak mgła. Twarze ich i oczy pozostały wprawdzie równo nieruchome, ale ozwało się przygłuszone chrapliwe: *halo!* ogromne bronzowe łapy wyciągnęły się łapczywie w kierunku

podarków, i tak czekolada, jak i cygara znikły natychmiast w paszczach moich nowych sprzymierzeńców. Przez chwilę słychać było tylko chrupanie nieszczęsnych tabliczek czekolady, ofiarowanych mi przez piękne rączki jeszcze w Warszawie, a potem nastała uroczysta cisza.

Teraz już lody były złamane. Mogłem rozmawiać do woli, ale nim zdążyłem spytać o imiona braci moich i skomponować jakieś efektowne dla siebie, lokomotywa zagwizdała, i trzeba było wracać. Francuz jednak zdążył dowiedzieć się, że ogromne śniegi spadły na wysokich stepach, i że zapewne «wielkie wozy białych» będą musiały się zatrzymać. Chciałem dowiedzieć się także, jak długo «czerwoni bracia moi» bawią w Ketchum i dokąd jadą, ale nie było już czasu, bośmy go dużo zmarnowali, siedząc z początku przy ognisku, w obowiązkowem milczeniu.

Po drodze do wagonów, awanturnicy poczęli robić wymówki mnie i Francuzowi za to, żeśmy jak z ludźmi rozmawiali «z tymi łotrami, czerwonymi dyabłami, rozbójnikami» etc. Odpowiedzieliśmy im, a raczej odpowiedział Francuz, żeby patrzali swego nosa, i wsiedliśmy do wagonu. W wagonie rozmowa toczyła się wszę-

dzie o czerwonych. Trudno zrozumieć, do jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda kresowych Amerykanów względem Indyan. Prawda, że ciągła walka na śmierć i życie, grabieże i rozboje zaostrzają do wysokiego stopnia wzajemne stosunki, ale też prawda także, że pograniczni biali nie uważają Indyan za ludzi i wytępianie ich poczytują za zasługę wobec ludzkości. Człowiek biały, według pojęć pogranicznych, ma takie samo prawo tępić Indyan, jak grzechotniki, szare niedźwiedzie i inne szkodliwe stworzenia. Kiedy więc, co czas jakiś, brukowi filantropowie w New-Yorku wyprawiają filantropijne maskarady ze sprowadzonymi Indyanami, na kresach wre ustawicznie wojna bezlitosna i najokrutniejsza, o jakiej można pomyśleć. Trzeba bowiem wiedzieć, że kresowcy, lubo względem siebie lojalni, a nawet uczciwi, w stosunku do czerwonoskórych nie są mniej dzikimi. Indyanin nie ma litości, to prawda; ofiara, która wpadnie w jego ręce, napróżno. używałaby wszelkich ludzkich zaklęć i próśb: czerwony wojownik patrzy na nią nieruchomemi oczyma, błagania przyjemnie tylko łechcą jego uszy; męka ofiary sprawia mu rozkosz, nasyca się nią i przez chwilę jest szczęśliwy. Ale biali również postę-

pują z nimi. Indyanin zdziera skórę z głowy jeńca, jako wojenne trofeum; biali przyjęli od czerwonoskórych ten zwyczaj i również skalpują swych jeńców. Z tem wszystkiem, gdyby mnie kto spytał, po czyjej stronie leży słuszność, to sądząc według zasad prostej, opartej nie na sofistyce, ale na sercu i sumieniu sprawiedliwości, odpowiedziałbym, że słuszność leży po stronie Indyan.

Spojrzyjmy bowiem, co to jest i jak się im przedstawia owa cywilizacya, do której przyjęcia głoszą ich niezdolnymi. Więc, oto naprzód: rząd Stanów gwarantuje im ziemię, obywatele zaś, z których łona rząd wyszedł, odbierają ją im mimo rządu. Na pierwszym więc kroku spotykają się z kłamstwem i krzywoprzysięstwem, jako zaś proste dzieci natury, nie umieją odróżnić rządu od narodu, i z tych wszystkich stosunków wynoszą jedno tylko poczucie: głębokiej krzywdy. Zresztą Indyanin w cywilizacyi widzi tylko stratę tego wszystkiego, co stanowiło sposób do życia jego i jego przodków. Naprzód odejmują mu cały obszar stepów bez końca, a dają kawałek ziemi, której on nie umie uprawiać. Dają mu derkę, a zabierają wolność. Piękna zamiana! Dziki wojownik, sie-

dząc na grzbiecie mustanga, przebiega stepy, poluje, walczy, oddycha całym obszarem piersi; jemu to życie dzikie, stepowe — potrzebne, jak ptakowi powietrzne przestrzenie; on bez tego obejść się nie może: schnie i umiera. Pomyślmy zatem, co zyskuje, a co traci, przyjmując tak zwaną cywilizacyę. Przedewszystkiem mrze głód, na swoim kawałku roli; ci sami bracia, którzy prawili mu o cywilizacyi, pogardzają nim teraz, tak jak w Europie Cyganem, a w rezultacie nic też innego nie pozostaje mu, tylko cygańskie życie: żebranina i małe złodziejstwa, i wegetowanie ż dnia na dzień, wśród którego podleje do ostatka.

Nakoniec, jacyż to są ci apostolowie cywilizacyi, z którymi się spotyka? Naprzód kupiec, który go oszukuje; dalej awanturnik, który mu zdziera skórę z głowy; dalej traper, który przed jego wigwamami poluje na bawoły, dostarczające czerwonym pożywienia; wreszcie amerykański komisarz rządowy z papierem, na którym między liniami napisano: *Mane, tekel, fares!* dla całego plemienia.

Spotykałem potem na wielu stacyach, w stepach Nebraski i Wyomingu, tak zwanych ucywilizowanych Indyan. Jest to jeden obraz nę-

dzy i rozpaczy: mężczyźni obdarci, brudni i upodleni; kobiety wyciągają wychudłe ręce do wagonów. Spytacie: dlaczego jedni i drugie nie pracują? Nie umieją; nikt się nie troszczy zresztą o to, żeby ich nauczyć. Wyrzekli się wojny z białymi, rozbojów, polowań, a dostali za to... derki... i pogardę.

Nakoniec, najpierwszym bezpośrednim produktem, który wszyscy dzicy otrzymali od cywilizacyi, jest: wódka, ospa i syfilis; cóż dziwnego więc, że patrząc na cywilizacyę ze stanowiska tych najpierwszych dobrodziejstw, nie wzdychają do niej, bronią się i giną!

Przedewszystkiem zaś giną. Całe te plemiona, czy to przyjąwszy cywilizacyę, czy żyjąc w stanie dzikim, znikają z powierzchni ziemi z zastraszającą szybkością. Nie mogą się cywilizacyi ani oprzeć, ani unieść na słabych ramionach jej ciężaru. Objaw to spotykany u wielu ludów dzikich. Uczony nasz rodak Strzelecki, sprawdziwszy go, zmienił na prawo naukowe, które Anglicy: «Strzelecki law» przezwali, i które stale dziś już jako pewnik jest przyjęte przez antropologię. Co do Indyan jednakże, a przynajmniej co do niektórych ich pokoleń, są bowiem wielkie między niemi różnice, gdyby za-

miast spotykać się z mętami cywilizacyi, zetknęli się z lepszą, łagodną i ochraniającą a nie niszczącą jej stroną, możeby nakoniec przywykli do niej i ocaleli od zguby. Cywilizacya taka winna jednakże być nader łagodną nauczycielką i naginać zwolna, a nie odrazu łamać. Zmiana sposobu życia, stałe osiedlenie i zajęcie się rolą, które, wobec dzisiejszych stosunków, przedstawiają się jako konieczność, narzucona gwałtem nieprzygotowanym do niej plemionom, przyszłyby wówczas zwolna, jako naturalne następstwa stopniowego rozwoju.

Zdaje mi się nawet, że owo prawo naukowe o koniecznej zagubie ludów, spotykających się z cywilizacyą, daje się wyjaśnić nie absolutną niezdolnością tych ludów, ale tem właśnie, że nie mają czasu cywilizować się tak, jak cywilizowały się ludy europejskie, to jest drogą ciągłego i stopniowego rozwoju. Żyjąc częstokroć w stanie zupełnie pierwotnym, czasem nawet ludy żerujące *(Sammel-Völker)*, dzikie plemiona spotykają się odrazu z cywilizacyą wysoką, rozwiniętą, subtelną — słowem: z cywilizacyą absolutnie dla nich za trudną; nic więc dziwnego, że zamiast pod jej wpływem podnosić się i oświecać, tumanieją, głupieją i w rezultacie

rozbijają sobie o tę zbyt twardą na ich zęby cywilizacyę głowy.

Wracam jeszcze raz do Indyan: słyszałem od ludzi doświadczonych, a później przekonałem się osobiście, że są to plemiona względnie dość nawet rozwinięte umysłowo. Nie stoją naprzykład wcale o wiele niżej od Kalmuków, Baszkirów i innych plemion koczujących na stepach Rosyi i Azyi; mają swoje podania, swoją mitologię, a nawet swoją poezyę, zawierającą się w pieśniach wojennych, pogrzebowych i tym podobnych. Podania niektóre są nawet nader zręcznie ułożone i dowodzą pewnego sprytu, umiejącego korzystać z zewnętrznego materyału, jakiego dostarczają ludzie i przyroda. Gdy wielki Maniku (mówi jedno z podań) postanowił stworzyć człowieka, wziął glinę, wyrobił kształt ludzki i postanowił go wypalić w ogniu. Ale pierwszym razem przepalił na węgiel, twór jednak zostawił przy życiu, i odtąd powstał czarny murzyn; drugim razem nie dopiekł, i powstał biały człowiek; trzeci raz dopiero, nauczony doświadczeniem, umiał zachować miarę: ani nie dopiekł, ani przepalił, i stąd powstał twór doskonały, prawdziwie piękny: czerwonoskóry.

Jest w tem podaniu pewna trafność, polegająca na umiejętnem skorzystaniu z koloru trzech ras ludzkich. Dalej, sam sposób wyrażania się Indyan, w najzwyklejszej nawet mowie, pełen porównań i metafor, do wysokiego stopnia jest poetyczny i dowodzący pewnego wyrobienia się myśli. W niektórych indywiduach wrodzona inteligencya poprostu jest zadziwiająca, ale wogóle wszyscy są nader przenikliwi, umiejący odróżnić prawdę od kłamstwa, choćby najbardziej cukrowanego. Cechy te mieszają się wprawdzie z drugiej strony z naiwnością prawie dziecięcą.

Nakoniec, plemiona te, bądź co bądź, wyrobiły już pewną cywilizacyę, mogłyby więc postępować i dalej, mogłyby stanąć, przy mądrej pomocy, i na wysokości naszej cywilizacyi — gdyby nie to, że ta *nasza* wynalazła postępowanie o wiele krótsze: zamiast słabszych popierać i wzmacniać — zabija.

Wśród takich myśli przybyłem do Omaha, na granicę Jowy i Nebraski, to jest mniej więcej na połowę drogi, łączącej dwa Oceany; dalszy opis podróży, to jest z Omaha do San-Francisco, odkładam do następującego listu.

V.

Koleją dwóch Oceanów.

II.

Nieraz zdarzyło mi się czytać opis rozmaitych wypadków i niebezpieczeństw, na jakie są narażeni podróżni, jadący koleją dwóch Oceanów z New-Yorku do San-Francisco. Może przed dwoma laty gazety doniosły, że Indyanie zapalili dziewiczy las, przez który przechodził pociąg, co widząc maszynista, nietylko jakoby pociągu nie wstrzymał, ale wpadł całą siłą pary w owo morze płomieni, które rozstąpiło się przed prądem powietrza. Pociąg przeszedł szczęśliwie; podróżni, lubo poparzeni trochę, zostali uratowani.

Co większa, w ilustracyach francuskich i niemieckich widziałem nawet ryciny, dopełniające tego efektownego opisu. Obecnie, kiedy już prze-

jechałem całą długość tej kolei, tak opis sam, jak i ryciny, służą mi tylko za dowód, do jakiego stopnia dochodzą humbugi i kłamstwa, przedostające się z gazet amerykańskich do naszych, albo powstające z opowiadań podróżników, którzy przyjechawszy do jakiegoś portu nad Atlantykiem, opisują z taką pewnością Stany Zjednoczone, jakby ich całą długość i szerokość z pierwszej lepszej wieży kościelnej gołem okiem objąć można.

Na zbicie naprzykład powyższej wieści o pożarze dziewiczego lasu, dość mi będzie przytoczyć małą rzecz: oto, w Stanach wschodnich, bliższych New-Yorku, w których są lasy, nie dziewicze wprawdzie, ale dość znaczne, niema wcale Indyan, w zachodnich zaś, poczynając od Jowy, podróżnik literalnie nie widzi ani jednego drzewa, aż do lesistej granicy Kalifornii i Nevady, czyli na długości mniej więcej takiej, jaka oddziela Warszawę od Madrytu. Jowa, Nebraska, Wyoming, Utah i Nevada w środkowych swych częściach — jest to jedna olbrzymia i bezdrzewna prerya, porosła tylko trawą, wrzosem i gdzieniegdzie w jarach, stanowiących koryta strumieni, nędznymi krzakami wierzbiny.

Przedewszystkiem jednak, najczystszy typ

stepu przedstawia Nebraska. Podróżnik, któremu sprzykrzyły się zaludnione, upstrzone fermami okolice Stanów wschodnich, i który pragnął widzieć pustynię, znajduje tu czego szukał. Czasem tylko, przy samej linii kolei tuli się mały domek jakiego zabłąkanego aż tu osadnika; zresztą pustka i pustka, jedna, bezbrzeżna, milcząca równina, na której wzrok nie ma na czem spocząć i pada wreszcie jak ptak, który słabemi skrzydłami chciał przelecieć przestrzenie Oceanu.

Chwilami, kiedy pociąg zatrzymywał się na czas dłuższy, opuszczałem stacye i biegłem na step, który zaczyna się tuż za sztachetami mizernego, zwykle drewnianego domu, zastępującego tu miejsce dworca. Śnieg chrzęścił pod nogami, wiatr pochylał wierzcholki wrzosów i szyszki ostów, wystające ponad śniegiem; zresztą milczenie panowało głębokie: nigdzie ani ptaka, ani zwierzęcia, ani żadnej żywej istoty. Cisza ta jednak i pustosz ma swój głęboki urok. Rzekłbyś, nietylko wzrok, ale i dusza i myśl gubi się w tych stepach, porzuca drogi, któremi chodzić zwykła, zapomina o swojem *ja*, zlewa się z otoczeniem i przez chwilę zdaje się żyć nie własnem życiem, ale całą potęgą ste-

pów, w której tak roztapia się, jak kropla wody w morzu.

Z takich to uczuć i wrażeń, z tej łatwości, z jaką człowiek zlewa się z naturą, powstały wszystkie panteistyczne systemy. Człowiek na łonie natury i wobec natury nie może oprzeć się poczuciu, że stanowi z nią jedno, że w nim i w całem otoczeniu jest tylko jedna wielka dusza, a życie odrębne, ludzkie — to stan przejściowy, po którym nastąpi zlanie się z ogółem i nie byt osobisty, lecz wiekuisty byt ogólny.

Jest to, powtarzam, pierwsze i niejako wrodzone poczucie; dlatego też i wszystkie bez wyjątku pierwotne religie są tylko różnemi formami panteizmu. Później dopiero, gdy wyrobione już sztucznie życie odejdzie daleko od natury, pochłonie swemi sprawami uwagę człowieka i przysłoni mu prawdę pierwotną, wówczas i bogi stają się ludźmi, i dusza odrębną, samoistną jednostką; ale początkowo, czy to weźmiemy mitologię Greków, czy słowiańską, czy buddaizm indyjski, dostrzeżemy w nich czysty tylko panteizm, który ani bogów nie zwie istotami, ani nie obiecuje życia odrębnego po śmierci.

Co większa, w każdej naturze ludzkiej leży tęsknota do zlania się z naturą i osobistego nie-

bytu. Życie jednostkowe, bądź co bądź, męczące jest i pokutnicze; dlatego oto buddysta nirwanę niebem swojem nazywa. Nie jest ona dla niego absolutną nicością; przeciwnie nirwana to tylko wszechżycie i wypoczynek wielki, i jakoby sen wieczny, nigdy nieprześniony, a nicość i niebyt tylko dla jednostek.

Ale to, co stanowi istotę buddaizmu, tej w pierwotnej zasadzie najnaturalniejszej ze wszystkich religii, leży, jako mniej więcej jasne poczucie, w każdym człowieku. Tem tylko poczuciem i tą tęsknotą do wszechżycia, w przeciwieństwie do życia jednostkowego, można wytłómaczyć i ów niepojęty urok, jaki wywierają na nas te zjawiska natury, które mniej więcej przypominają nieskończoność.

Lubimy naprzykład morza, stepy, a jednak według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonię jako pierwszą zasadę piękności, niemasz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w tej bezbrzeżnej równinie stepowej? — Nic, pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokręgu — milczenie wokoło: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś siąść na koń i puścić się nim, i gonić i gonić; chciałbyś ot wykąpać się

w nieskończoności, i rozłożyć ręce na koniu i krzyczeć: «Hej! hej, stepy!» — i zapamiętać się w nich, i obłąkać, i żyć.

Czemże wytłómaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkiem, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko *jedna wielka dusza:* dlatego step tak nęci i pociąga. Jest to niby odbrzask nirwany wszechżycia, a tęsknota do niego leży w ludzkiej duszy.

Dlatego step tak nęci i pociąga.

Wracam na stepy Nebraski, a raczej stepy środkowe Stanów. Sprawiają one niezmiernie potężne wrażenie z powodu swej dzikości i ogromu. Rozległe są na całe tysiące mil na północ, wschód i zachód; prócz bowiem wyżej wymienionych Stanów, obejmują prawie wszystkie na zachód od Mississipi, z wyjątkiem Kalifornii. Jest to, jak powiedziałem już, olbrzymie płaskowzgórze, wznoszące się z obu stron coraz bardziej ku własnemu środkowi, środek zaś ten, a zarazem kość pacierzową, stanowią tak zwane Rocky Mountains (Góry Skaliste). Góry te, biegnąc z północy na południe, dochodzą najwyższej wysokości w Wyomingu, potem, przebiegł-

szy jeszcze Colorado i New-Mexico, zniżają się coraz bardziej, przechodząc stopniowo w pagórki, tworzące kilka pasm w samym Meksyku.

Prócz tego systemu gór, na zachód od nich biegnie inne pasmo, tak zwane Sierra Nevada. Są to góry, których odrośla pokrywają całą Kalifornię, a w niej, jak również na północy, w Oregonie, pojedyńczo brane, rozmaite noszą nazwy. Na północy (Oregon, Washington, Idaho) i na południe (New-Mexico, Arizona), Sierra Nevada styka się prawie ze Skalistemi, w środku zaś Skaliste wyginają się półkolem na wschód ku Missisipi, Sierra Nevada zaś na zachód ku Oceanowi Spokojnemu. Między temi dwoma półkolami leżą Stany lub terytorya: Idaho, część Oregonu, część Wyomingu, Nevada, Utah, cała Arizona i część Nowego Meksyku. Szczupłe wody Sierra Nevady staczają się wszystkie do Oceanu Spokojnego, wody zaś Gór Skalistych, płynąc na wschód ku Atlantykowi, tworzą owe wielkie rzeki amerykańskie (Missouri, Mississipi), albo też ich dopływy. Skutkiem tego, kraj zawarty między dwoma półkolistemi pasmami gór stosunkowo jest bezwodny. Niewielkie rzeki albo giną w stepach, albo wpadają do środkowych jezior, nie mając nigdzie przystępu do brzegów morskich.

Step tu i owdzie przechodzi w pustynię zupełnie nieurodzajną: miejscami sól występuje na powierzchnię gruntu. W Stanie Utah znajdują się wielkie zbiorniki słonej wody (Salt L. i Utah L.). Również często napotykamy je i w Nevadzie, jak np. Tahoe, Pyramid i Humboldt L.

Mianowicie południe Utah i Nevady prawie zupełnie jest bezwodne; dopiero w Arizonie i New-Mexico znajdujemy mniej więcej liczne dopływy Colorado River i Green River. Step też tu piękniejszy, obfitszy w trawę, miejscami w drzewa, chociaż wogóle ustępuje stepom, położonym na wschód Rocky Mountains i ciągnącym się aż do Missouri i Mississipi, t. j. stepom Nebraski, Kanzas, Indian Territory i Texasu.

Obecność dwóch wyżej wymienionych rzek i stosunkowo wielka ilość ich dopływów sprawiają, że wschodnie te stepy, jakkolwiek i one nie mają dostatecznej ilości wody, są jednak wilgotniejsze od zachodnich i wogóle nadzwyczaj urodzajne. Cuda opowiadają o żyzności ziemi w Nebrasce, Kanzas, Indian Territory i Texasie. Z tem wszystkiem są to ziemie prawie jeszcze puste, zamieszkane tylko przez rozmaite pokolenia Indyan i wszelkiego rodzaju dzikie zwierzęta.

Miejscami w międzyrzeczach mają się na nich znajdować olbrzymie lasy, na całej jednak długości linii kolei żelaznej tak w stepach wschodnich, to jest z tej strony gór, jak w zachodnich, z tamtej strony gór leżących, nie widziałem literalnie ani jednego drzewa, prócz zasadzonych w małej zresztą ilości koło stacyi kolejowych.

Wszędzie step i step, porosły tylko rodzajem wrzosów, burzanami i jakąś szyszkowatą rośliną, której szyszki do naszego szaleju podobne. Widok wogóle uroczysty, ale nadzwyczaj smutny. Prawda, że pierwszy raz widziałem owe stepy w połowie marca, to jest w czasie, kiedy wszystko na nich jeszcze zdrętwiałe jest snem zimowym. Stepy Jowy, Nebraski, Wyomingu, Utah i Nevady, jakkolwiek położone pod 42° szerokości północnej, t. j. mniej więcej na równoleżniku Portugalii, Hiszpanii i południowych Włoch, zimę jednak mają długą i ostrą. Czytelnikom zapewne wiadomo, że pod tą samą szerokością w Europie cieplej jest, niż gdziekolwiek indziej; ale istnieje i inna ważniejsza jeszcze przyczyna, dla której wymienione stepy mają klimat tak ostry: oto wysokość ich położenia nad poziom morza. Wspomniałem już, że

poczynając od systemu wielkich jezior, a ściśle biorąc od Mississipi, płaskowzgórze wznosi się ciągle, tak, że w Wyomingu i Utah dochodzi kilkunastu tysięcy stóp nad poziom morza, to jest do linii wiecznych śniegów. Z tem wszystkiem, wznoszenie się owo tak jest nieznaczne i łagodne, że podróżnik, znalazłszy się na wysokości Mont-Blanc lub Gotarda, nie spostrzegł nawet, że jechał pod górę. Pozornie, pociąg pędzi ciągle po równinie, i dopiero zaspy śniegowe i tak zwane śnieżne domy, to jest ogromne drewniane galerye, wśród których idzie kolej, ukazują rzeczywisty stan rzeczy.

Nebraska jest położona wprawdzie znacznie niżej, ale i w niej, a szczególnie na zachodnim jej krańcu, zima trwa do połowy kwietnia. Latem za to upały dochodzą tu do stu kilkunastu stopni Fahrenheita. Promienie słoneczne, padając prawie prostopadle na step niepokryty cieniem drzew, rozpalają go jak piec hutniczy. Trawy, osty, burzany i bodiaki schną jak pieprz, i opadłszy na ziemię, wikłają się z sobą w jedno zbite, wyżółkłe podścielisko. Mniejsze rzeki, czyli tak zwane kryki, a nawet i większe *(river)* wysychają zupełnie, liście wierzbiny czernieją, skręcają się koło własnych grzbietów

i dają się pokruszyć w ręku. Najmniejszy wiatr nie ochładza rozpalonego powietrza; niebo bezchmurne, siwe jakieś, zdaje się tchnąć płomienistym oddechem na ziemię; grunt stepowy pęka. Wówczas to stepy stają tak puste i milczące, jak sama śmierć. W żółtem podścielisku nie dostrzeżesz ani motyla, ani żadnego owadu; na wytężonej kopule nieba nie waży się na skrzydłach ptactwo, dziki zwierz zaś cały dzień spoczywa w legowisku.

Nawet jaguar i puma, czyli płowy lew stepów, rzadko odważają się krążyć w godzinach południowych, w których upał dochodzi największej siły. Wielkie szare niedźwiedzie, najstraszniejsze rozbójniki stepowe, udają się w góry, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, lub wloką się leniwo za śladami bizonów, szukających schronienia w korytach rzek, których upał nie zdołał wysuszyć zupełnie. Męczący wpływ upału znać i na bizonach. Ogromne łby ich, z kadłubami nabitymi na kilka cali grubo kurzem, gliną i poplątanemi roślinami stepów, schylają się co chwila, bodąc rogami twardy grunt stepowy, jakby w poszukiwaniu wody; wielkie stare samce, przewodniki stad, ryją z niecierpliwością racicami ziemię, lub podnosząc chra-

pliwe nozdrza, wietrzą na wszystkie strony, czy czasem w rozpalonem powietrzu nie poczują chłodnego powiewu wilgoci, idącego z rzek i jezior. Oczy ich błędne i zaszłe krwią, oraz powywieszane języki znamionują wściekłość i pragnienie.

Wieczorem dopiero, gdy wielki czerwony krąg słoneczny stacza się za krańce widnokręgu, rozpoczyna się na stepach życie nocne. Tu i owdzie słychać złowrogie gardłowe wrzaski kaguarów, czasem ozwie się ryk szarego niedźwiedzia, po którym na chwilę milknie wszystko; a potem znów powiew wiatru przyniesie lękliwe skomlenia kujotów czyli małych wilków stepowych, idących w ślad za wielkimi rozbójnikami i żyjących z resztek ich biesiad.

Największy jednak ruch panuje koło rzeki i jezior, których woda mimo upałów nie wysycha. Ukrywszy się w pobrzeżnej trzcinie lub sitowiu, można jak na dłoni widzieć całe menażerye wszelkiego rodzaju zwierząt. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca rysują się z dziwną dokładnością ogromne czarne sylwety bizonów, biegnących truchtem po wysokim stepie ku wodzie i nurzających się w niej z lubością razem ze łbami; tu i owdzie w lekkich i wdzięcznych podskokach zbliżają się

stada malowniczych antylop, za niemi chyłkiem ciągną drapieżcy; czasem zaś rozchyla się trawa i krzaki, i wśród zarośli ukażą się na chwilę zdobne w pióra głowy Indyan. Siedząc prawie w kuczki na koniach, zbrojni w dziryty, czerwoni wojownicy obejmują pałającemi oczyma ów świat zwierzęcy, który za chwilę ma stać się ich łupem.

W godzinach jednak upału, kiedy wszystko na stepie milczy i zasypia, i gdy nawet Indyanin chroni się pod cień wigwamu, jedna tylko istota odważa się narazić głowę na promienie słoneczne, a tą istotą jest biały człowiek. Nieraz w porze największego żaru wśród atmosfery przepełnionej subtelnym pyłem, zobaczysz wielkie wozy, zwane tu okrętami preryi, zaprzężone w trzy, w cztery, a nawet w sześć par mułów. Karawana taka dzwoni i brzęczy z daleka, nad każdem bowiem chomątem zawieszają po cztery dzwonki, których odgłos zachęca pociągowe zwierzęta i dodaje im siły. Wierzchy wozów pokryte pasiastem płótnem, w wozach zaś siedzą kobiety, dzieci, leżą sprzęty domowe; za karawaną skwaterowie, często murzyni lub metysi, popędzają stadka krów i owiec, trzaskając z długich biczów, wykrzykując: «ho! ho!»

lub przeklinając upał i siebie wzajemnie. Obok każdego zaprzęgu idzie zwolna ze sztućcem przez plecy *traveller*, ubrany we flanelową koszulę i obszerne, zasłaniające go od słońca *sombrero*.

Co to za ludzie? To osadnicy, ciągnący na «Daleki Zachód» razem z żonami, dziećmi i całym dobytkiem. Sami często nie wiedzą dokąd jadą. Czasem umieją wskazać Stan lub okolicę. «Jedziemy do Kanzas, Kolorado, lub Nebraski (mówią), albo też w głuchy step. Jak znajdziemy ziemię, trochę drzewa i wodę, to osiądziemy».

Nie potrzebuję mówić, jak dalece niebezpieczną jest taka podróż. Wprawdzie kilkunastu ludzi dobrze uzbrojonych i odważnych nie potrzebuje się obawiać całych setek Siouxów, Pawnisów lub Huronów, jeżeli tylko pilnuje się dobrze i nie da uchwycić się w zasadzkę. Indyanin nie napada nigdy, jeżeli wie, że małe stosunkowo łupy i małą ilość skalpów przyszłoby mu wielką stratą opłacić. Zresztą wobec dzisiejszego stanu rzeczy i wobec solidarności, z jaką jedni biali mszczą się za drugich, czerwoni wojownicy, jeżeli nie bronią swych siedzib, niebardzo śmieją nastawać na życie nawet pojedyńczych podróżników, ale natomiast kradną i łupią ich, jak mogą.

Szczególnie konie i muły stanowią łatwą dla nich zdobycz; kradną je z taką zręcznością, że wędrowcy stepowi dzień i noc czuwać muszą nad swoim dobytkiem; jeżeli zaś osiądą w pustyni w pobliżu wigwamów, czuwanie owo nie kończy się nigdy. Nowy osadnik zapowiada wprawdzie zwykle, że każdego Indyanina, którego ujrzy w takim a takim promieniu od swej fermy, zastrzeli jak psa, nie pytając, czy winien, czy nie winien; ale i to nie pomaga wiele, i trzeba ustawicznie strzedz się od napadów, od kradzieży, a nawet i od pożarów, Indyanie bowiem częstokroć palą zboża białych przez prostą chęć szkodzenia. Takie stosunki istnieją szczególnie w Indian-Territory, która to ziemia, oddana czerwonym, zaludnia się teraz, mimo zakazów rządowych, coraz obficiej białymi osadnikami.

Największem jednak niebezpieczeństwem takiej podróży wozami przez stepy są zdarzające się częstokroć w lecie pożary stepów. Czasami Indyanie wzniecają je umyślnie, często zaś wynikają one z zaniedbanych ognisk podróżnych, albo wprost powstają ze zbytecznego żaru słońca. Nic bardziej nieprawdopodobnego do wiary, niż szybkość, z jaką płomień biegnie, gnany po-

wiewem wiatru po preryi. Suche podścielisko trawy, zwanej *blue grass*, pali się jak siarka. Płomień, zaledwo zrodzony z iskry w jednem miejscu, chwyta łakomie szyszki ostów, potrząsa liśćmi burzanów, pożera żywiczne dziewanny, przeskakuje puste przestrzenie, rozrzuca złote iskry na wszystkie strony, huczy i pędzi, jak gdyby ze wściekłością szaleje i dogania uciekające napróżno zwierzęta, które nawpół zduszone dymem i żarem, padają z wywieszonymi językami jeszcze przedtem, nim płomień zdołał je objąć i pójść dalej po ich zwęglonych trupach. Biada podróżnikowi, który nocą dostrzegłszy na krańcach horyzontu czerwony pasek światła, niby świtanie zorzy, nie zapali natychmiast stepu przed sobą i nie schroni się na świeżo wypalone gorące jeszcze przestrzenie. Jeśli spostrzeże się za późno, nim skrzesze ognia, hucząca czerwona fala przyleci, niby na skrzydłach, i niemasz już wtedy dla niego ratunku, bo choćby płomień go nie spalił, udusi go dym, żar i brak powietrza.

Ten jednak łatwy sposób ratunku, polegający na zapaleniu stepu przed sobą, ma swoją złą stronę: oto wznieca nowy pożar, a raczej rozszerza go do nieskończoności; skutkiem tego

płomień obejmuje niezmierzone przestrzenie. Nic smutniejszego, nad widok takiej spalonej preryi. Step zmienia się jakby w jeden pokład popiołu i węgla, martwota pada na niego absolutna, a gorące i tak promienie słońca, operując na czarny grunt, wzniecają taki żar, że poprostu niepodobna w nim oddychać.

Z drugiej jednak strony, pożary użyźniają stepy do wysokiego stopnia. Wiosną, po deszczach zimowych, gdy wilgotna ziemia zieleni się pierwszą runią, na przestrzeniach spalonych porasta najbujniej i najobficiej. Nieraz pokazywano mi już później takie całe pasy, którymi poprzedzającego lata przeszedł ogień, i istotnie odróżnić je łatwo po zieloności ciemniejszej i trawach, w których człowiekowi siedzącemu na koniu, widać tylko głowę i ramiona.

Nie sposób wypowiedzieć, ani opisać całego uroku, jaki stepy mają na wiosnę, gdy słońce potopi śniegi, ziemia przesiąknie nadmiarem wilgoci, wszystkie strumienie (kryki) wystąpią ze swoich łożysk, i zalawszy płytko, ale szeroko, ogromne przestrzenie, przeświecają rzeźwą, wiosenną wodą wśród traw i zarośli. Wszystko wówczas wzrasta prawie w oczach, strzela pękami i rozkwita. Step wydaje się jak jeden

stubarwny dywan. Więc naprzód wszystkie szlaki, którymi przechodziły wozy, porastają ślicznym kwiatem barwy złotawo-żółtej, który tam tylko wyrasta, gdzie ziemia była stratowana kopytami i gdzie padł na nią nawóz zwierzęcy. Szlaki te, niby złote wstęgi, wiją się po całym stepie: to rozchodzą się, to kołują, to znowu krzyżują z sobą i wreszcie nikną w oddali. Gdzieniegdzie step porasta jakby bylicą wysoką, cienką, o kwiatkach srebrnych i drobnych jak perełki, a podobieństwo to powiększają jeszcze kropelki przezroczystej żywicy, zwieszające się na nich ku ziemi; w innem miejscu, tuż obok białych barw, błękitnieją wielkie dzwonki stepowe, koloru naszego chabru; dalej gatunki rozchodników i rosiczek mienią się i pstrzą, to żółto, to czerwono; miejscami całe przestrzenie zajmują dzikie tulipany. Tam znów szczególne kwiatki, podobne do dzbanuszków i zawierające świeżą wodę, a raczej rosę nocną, pochylają gościnnie ku podróżnikowi pełne naczyńka. Nakoniec, mnóstwo kwiatów, o barwie jednakiej lub nakrapianych, mnóstwo powojów mieni się i plącze wśród traw, wikła się z sobą, tłoczy się, wyrasta, jedno na drugiem kwitnie, cieszy się, kocha, szaleje; słowem: prawdziwy

potop roślinności, znanej i nieznanej, tysiącznych nazw i gatunków. Wszystko to dochodzi do takiej wysokości, że w tej zielonej i pstrej fali z głową schować się można. Tysiączne wonie, to miodowe, to upajające, jakby lilii i heliotropów, to znów mocne i korzenne, uderzają o powonienie. Dzielny, orzeźwiający zapach trawy to góruje nad innymi, to znów ustępuje pola oddechom kwiatów.

W kwiatach i nad kwiatami, w trawie i nad trawą porusza się i roi cały odrębny świat zwierzęcy. Czasem ujrzysz, jak trawa poczyna poruszać się szybko wązkim szlakiem, aż nagle ukaże się groźny łeb bizona lub śliczna główka antylopy o wielkich smutnych oczach i promiennych rogach, a ukazawszy się na chwilę, zniknie znowu, jakoby w topieli. Pod nogami smyrgają ustawicznie pieski ziemne i małe szkodne skrzeczki, zwane tu goframi. Czasem, gdzie trawa mniejsza, siądzie na tylnych łapach młody zajączek, wytrzeszczy oczy, nastawi uszy i poruszywszy groźnie wąsami, chowa się, jakby przekonany, że już dostatecznie przeraził wędrowca; nakoniec, kiedy niekiedy usłyszysz złowrogie suche kołatanie dzwonków grzechotnika, który wijąc groźnie ogonem, ucieka jed-

nak co prędzej, wiedząc, że gdziekolwiek człowiek go ujrzy, tam zabija go bez miłosierdzia.

Znajdują się miejsca na stepie, które można nawet widzieć z pociągu, gdzie owe pieski ziemne pozakładały sobie całe obozowiska. Są to szeregi kopców, tuż przy sobie stojących, z otworami wiodącymi do dość obszernych jam pod ziemią. Między kopcami kręcą się ustawicznie mali ich mieszkańcy, to gryząc się, to swawoląc, to znosząc trawę lub korzonki. Niektóre siedzą na tylnych łapkach w samych otworach i poważnie przypatrują się wszystkiemu, co dzieje się w obozie, zupełnie jak wiejskie gosposie, stojące we drzwiach chaty. Trochę zdala od obozu stoją straże, baczące, *„ne quid respublica detrimenti capiat“*, słowem, wszystko jest jak gdyby w porządnem i uorganizowanem społeczeństwie ludzkiem.

Obozów takich widziałem już bardzo wiele, ale dlatego właśnie nie radzę zbliżać się do nich niebacznie podróżnemu. Już o kilkadziesiąt kroków można dostrzedz leżące na słońcu jakieś ciemne, wydłużone ciała, kiedy niekiedy poruszające się leniwo. Ni mniej ni więcej są to grzechotniki, których w każdem obozowisku jest nieprzebrane mnóstwo. Napozór, groźni ci są-

siedzi zdają się żyć w najlepszej zgodzie z małymi republikanami; niektórzy jednak bywalcy w stepach mówili mi, iż węże jedzą małych republikanów, ci zaś, nie umiejąc sobie poradzić, muszą ich cierpieć, uważając zapewne przytem za swych kapłanów lub bogów.

Wiosną stepy zaludniają się także wielką ilością ptactwa, które przylatuje tu z okolic lesistych, trzyma się jednak głównie w pobliżu rzek, zarosłych wierzbiną. Na szczerym stepie jednak, raz wraz spotkać można małe szare sowy, siedzące z zamkniętemi przed nadmiarem światła oczyma i jakby ogłupiałe pośród dziennego blasku. Żywią się one myszami, szczurami i owymi goframi; dlatego szczególnie w miejscach już zamieszkanych są bardzo szanowane. Prócz sów, w powietrzu pławią się na rozpostartych skrzydłach wielkie orły i mniejsze jastrzębie, kobuzy i sokoły. Z głową zwieszoną na dół i oczyma utkwionemi w step, wiszą one czasem po całych kwadransach nieruchomo nad trawą, a ponieważ słońce rzuca ich cień na ziemię, zdaje się więc, jakby się we własny cień wpatrywały.

Nieraz także, i w Kalifornii, już widywałem z daleka wielkie czarne i świecące się ptaki

z głową czerwoną, zupełnie, zwłaszcza z pewnej odległości, podobne do naszych indyczek. Z początku brałem je nawet za dzikie indyki, i dopiero postrzeliwszy jednego, przekonałem się, że są to sępy, tak zwane ścierwniki. Głowa ich goła wydaje się z daleka jakby zdobna w indycze korale. Żywią się padliną i oczyszczają tak stepy, jak i okolice już zaludnione, od wyziewów zgnilizny.

Jednakże, daleko jeszcze liczniejszy od drapieżnych jest ród śpiewaków. W godzinach rannych cały step brzmi gwizdaniem, śpiewem, świegotem, słowem: jednym ogromnym koncertem tych samouczków-artystów. Wogóle jednak ptaki tutejsze inaczej śpiewają od naszych. Wielki np. skowronek kalifornijski, dochodzący rozmiarów naszej przepiórki, zdobny wydłużonym dziobem i złotą piersią, nie śpiewa tak, jak nasz, długo i melodyjnie, ale siadłszy gdziekolwiek, gwizdnie raz i drugi, jakby na psa, i już kontent. Inne śpiewają i czyrykają dość wdzięcznie, najpiękniej jednak ze wszystkich tak zwany przedrzeźniacz, albo jeszcze inaczej drozd żartowniś.

Jest to szczególny ptaszek. Trzymają go wszędzie w klatkach, dlatego mogłem mu się

dowoli zblizka przypatrzyć. Wzrostu naszego skowronka, nie odznacza się wcale świetnem upierzeniem; cały jest szary, z małemi, białemi tylko lusterkami na skrzydłach. Ma on jednak inne talenta, które zastępują znikomą piękność zewnętrzną. Oto, nietylko śpiewa nadzwyczaj wdzięcznie, ale naśladuje wszystkie głosy, jakie gdziekolwiek usłyszy.

Słysząc miauczenie kota, natychmiast poczyna miauczeć jak kot; słysząc szczekanie psa, zaczyna szczekać jak pies. Co większa, chowany w domu, nawet kaszle i chrząka, naśladując w tem ludzi.

Raz, bawiąc już w Kalifornii, zaszedłem do jednego znajomego fermera, i spostrzegłszy klatkę z przedrzeźniaczem, wiszącą nade drzwiami, stanąłem przed nią i począłem mruczeć. Ptaszek natychmiast spuścił się z wyższego prętka na niższe, wychylił główkę przez pręty, przekrzywił ją trochę, przymknął jedno czarne jak paciorek oko i zdawał się słuchać uważnie. Po chwili, jakby już pojął, o co chodzi, wskoczył na wyższy pręt, nadął się i usłyszałem najdokładniejsze w świecie mruczenie, które trwało dopóty, dopóki ptak, idąc za moim przykładem, nie

zaczął się śmiać z kolei tak serdecznie, jak gdyby usłyszał coś najdowcipniejszego.

Zwykły śpiew jego dość do słowiczego podobny, nie tak jednak donośny, dźwięczny i słodki. Na stepach przelatuje ustawicznie z jednej rośliny na drugą, kołysze się na ostach i śpiewa, albo też drażni się po swojemu ze zwierzętami i z innymi ptakami, naśladując ich głosy.

Ale całe to życie stepowe, barwne i gwarne, trwa dosyć krótko: z chwilą, gdy następują upały, wszystko odlatuje lub chowa się w pobrzeżne zarośla i milknie aż do następnej wiosny; potem przychodzi jeszcze jesień, równie piękna, choć równie krótka, jak wiosna, a po jesieni znowu milczenie śmierci obejmuje całą krainę; w powietrzu roją się płatki śniegowe; step drętwieje i obumiera, i chyba tylko suche osty zaszeleszczą czasem pod tchnieniem wiatru, lub lokomotywa, pędząca na zachód, gwałtownym i zziajanym oddechem przerwie na chwilę panującą ciszę.

Wyjątek od powyższego prawidła stanowią oczywiście stepy Stanów południowych, które, jak np. w Indian-Territory, mają wieczystą wiosnę, albo prawie ciągłe upały, jak w dol-

nym Texasie. Natomiast w Stanach posuniętych bardziej na północ, na szczytach Rocky-Mountains, panuje wieczna zima i śniegi leżą nawet w lato. Nebraska ma klimat pośredni, pory roku nader wybitne, zimę ostrą, w lecie zaś wielkie upały.

Kraina ta, jakkolwiek jeszcze zupełnie pusta, ma jednak wielką przyszłość przed sobą. Przedsiębierczy Amerykanie dziś już myślą o zakładaniu w niej ogromnych gospodarstw hodowlanych, nakształt takich, jakie istnieją w stepach południowej Ameryki, w Argentynie, w Paragwaju i Urugwaju. Dziś kolej rozdaje ziemię leżącą tuż nawet koło stacyi za bezcen i na dziesięcioletnią wypłatę, dalej zaś od linii można osiadać, nie pytając się nikogo, ani też nie płacąc nikomu.

III.

Dnia 11 marca przybyłem wreszcie do Sydney, wielkiej stacyi, leżącej jeszcze w Nebrasce, ale już na zachodnim jej krańcu. Dworzec kolejowy przybrany jest w Sydney głowami bizonów, zastrzelonych z pociągu, stacya bowiem

leży na szlaku, którym te zwierzęta w pewnych miesiącach roku ciągną całymi dziesiątkami tysięcy na południe. Niedaleko Sydney pociąg przechodzi przez okolicę antylop, których istotnie takie jest mnóstwo, że łatwo dostrzedz je z okien wagonów. Prócz antylop, mieszkają tu także Indyanie Pawnis, którzy przyjeżdżają czasem na stacye kolejowe dla wymiany skór i kupna rozmaitych drobiazgów.

Step podnosi się ciągle. Jesteśmy już na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza, jakkolwiek prawie nigdzie nie można dostrzedz, żeby pociąg szedł pod górę. Na stepie śnieg i mróz. W wagonach znowu palą na gwałt w piecach; wszystko zdradza blizkość Rocky-Mountains.

Tego samego dnia wieczorem przybywam do Pine-Bluff. Jest to granica Nebraski i Wyomingu. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie i ze stepowego przechodzi w górzysty. Pociąg biegnie jeszcze zawsze równiną, ale po obu stronach widać góry z wierzchołkami pokrytymi śniegiem, lub skały, spiętrzone nieraz w nader fantastyczne kształty, przypominające ruiny zamków nad Renem. Okolica dzika i ponura. Z wagonów widzimy znowu antylopy i obozowiska piesków ziemnych. Zbliżamy się

do Cheyenne, stacyi w Wyomingu, ale przed przybyciem do niej przejeżdżamy przez pierwszy »śnieżny dom«, ciągnący się na kilka wiorst długości. Owe »śnieżne domy« są to niezmiernie długie galerye, pokryte dachem i strzegące linii kolejowych od zasp śniegowych. Tyle słyszałem o nich opowiadań i podziwiań, że doznaję zupełnego rozczarowania. Prawda, że galerye owe są bardzo długie, ale za to zbite w najprostszy sposób z desek i z belek; belki pospajane bretnalami, w dachu mnóstwo dziur, słowem: całość zbudowana tak, jak u nas budowano przed kilkudziesięciu laty chałupy. Budowa taka może być zresztą zupełnie wystarczająca, ale w żadnym razie nie zasługuje na to, ażeby ją za ósmy cud świata uważać.

Wyjechawszy ze śnieżnego domu, mamy przed sobą wspaniały widok. Na prawo od pociągu widać jak na dłoni Czarne góry (Black Hills), do których przez Omaha i Sioux-City pojechało tylu ludzi. Jest to osobna grupa, stojąca na równinie oddzielnie od innych pasm, tak jak nasze Tatry. Wśród krajobrazu przyprószonego śniegiem i na tle ołowianego nieba góry te istotnie wydają się czarne jak noc, a przytem mroczne jakieś, tajemnicze i groźne. Tylko wierz-

cholki najwyższych szczytów pokryte są śniegiem, zresztą czarna ich barwa nie ma nawet śladu tego błękitnego odcienia, który miewają zwykle góry. W tej chwili są one świadkami strasznych dramatów, rozgrywanych między czerwonoskórymi a białymi.*)

Przybywamy wreszcie do Cheyenne. Cała ludność stacyi jest rozgorączkowana i wzburzona. Jedni przez drugich opowiadają nam, że wczoraj odbyła się bitwa górników z Siouxami, w której górnicy ponieśli porażkę; stracili ośmiu zabitych i kilkunastu rannych, a nadto wszystkie konie, woły i zapasy żywności. Prawdopodobnem jest, że nim przez Omaha i Sioux-City dostawią nowe zapasy, zapanuje między nimi głód i nędza, przez Cheyenne bowiem zapasy iść nie mogą, bo jakkolwiek stąd do Czarnych gór najbliżej, ale droga niedostępna.

W Cheyenne pociąg zatrzymuje się kwadrans. Przez kilka minut słuchałem opowiadań

---

*) W chwili, w której to piszę (druga połowa lipca), w Czarnych górach i ich pobliżu wojna wre już na dobre, nie między górnikami a Indyanami, lecz już między tymi ostatnimi a rządem Stanów Zjednoczonych. Wedle ostatnich depesz, wojska pod wodzą generała Custera poniosły dotkliwą klęskę.

o walce, potem zaś podziwiałem wielkiego szarego niedźwiedzia *grizli*, który zaawanturowawszy się zbyt blizko stacyi, został zabity przez jej mieszkańców, a raczej rozstrzelany ze wszystkich rajlfi, jakie tylko się znalazły. Jest to potwór, mający przeszło stopę szerokości we łbie, tak zaś ogromny, że gdy postawiono go na zadnie łapy, ludzie zwykłego wzrostu dochodzili mu do ramion. Wogóle, w pobliżu Cheyenne, ma się znajdować ich bardzo wiele.

Cheyenne leży już bezpośrednio w systemie Rocky-Mountains; wysokość jej wynosi 6,401 stóp nad poziom morza, czyli prawie tyleż, ile naszej Łomnicy. Dalej poza stacyą śnieżne domy ciągną się prawie bez przerwy; śniegi wszędzie ogromne. Małe przystanki: Hazard, Otto, Granite-Canon i Bufor, leżą coraz wyżej. Nakoniec dojeżdżamy do stacyi Cherman, najwyższego wzniesienia na całej linii, leżącego na 9,000 stóp nad poziom morza.

Nic smutniejszego nad widok tej stacyi. Na łysej niewielkiej płaszczyźnie stoi dom z dachem grubo pokrytym zaspami; powietrze rzadkie i tak przenikające, że mimo futer drżymy od zimna. Śnieg pada tu prawie ciągle, wicher wyje i kręci tumanami śniegowych płatków;

w niektórych miejscach sterczą nagie czarne skały, z których dziś wiatr zwiał śniegi, a jutro nowe naniesie. Nie rozumiem, jak ludzie mogą żyć i mieszkać stale w tych miejscach, w których piersiom poprostu braknie oddechu, w uszach dzwoni, a osobom słabszym krew pokazuje się ustami.

Dnia 11 marca poczynamy zwolna spuszczać się na dół, ale i z tej strony gór spadek jest nadzwyczaj nieznaczny. Zawsze jeszcze znajdujemy się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza. Jest to już koniec Wyomingu. W południe tegoż dnia przybywamy do Green-River, która niedaleko stąd w górach bierze początek. Okolica wszędzie skalista, skały zaś przybierają tak fantastyczne kształty, że jest to najciekawsza niemal część drogi. Niektóre są podobne do obelisków, inne do piramid; tam znów stoi zamek: przysiągłbyś, że wzniesiony ręką ludzką, bo nie brak mu ani wież, ani blanków strzelniczych, ani nawet obwodowego muru. Ale oto znów zmiana: skały zniżają się i jak okiem dojrzysz, tworzą mury, długie, proste, a tak regularne, jak gdyby budowane pod linię i cyrkiel.

W Utah, niedaleko od stacyi Echo, znajdują się jednak najosobliwsze formacye. Jest tu tak

zwana Dyabla Brama i Dyabla Ścieżka. Obie zresztą podobne do siebie zupełnie, a różniące się tylko wielkością. Są to skały, idące pod górę dwoma grzbietami, zupełnie równoległe i tworzące przez to głębokie korytarze, tak dzikie i demoniczne, że istotnie dyabeł nie mógłby sobie nigdzie na świecie znaleźć odpowiedniejszego pomieszkania.

Nakoniec, przejechawszy jeszcze jedno ramię rzeki, a może tylko dopływ Green-River, przybyliśmy do Ogden, stacyi, a zarazem i miasta w Utah. Niedaleko od Ogden, ale w bok od wielkiej linii, leży Słone jezioro i Salt-Lake-City, stolica Mormonów. Na nieszczęście, na parę godzin przed nami przyszedł telegram, że droga jest zasypana śniegiem i że na drugi dzień dopiero będzie wolna. Niezrażony tem, chciałem doczekać się owego drugiego dnia, aby koniecznie zwiedzić to osobliwsze miasto, gdy tymczasem nadeszły nowe telegramy, grożące, że za parę dni i na wielkiej linii komunikacya może być na długo przecięta, ponieważ niepamiętne śniegi spadają ciągle w górach. Nie było więc rady. Śpiesząc się do San-Francisco, musiałem wyrzec się odwiedzin u Mormonów, obiecawszy

sobie tylko, że z powrotem zatrzymam się między nimi choćby kilka dni.

Tymczasem pokazało się, że byłbym lepiej zrobił, zatrzymawszy się odrazu w Ogden, zaledwie bowiem posunęliśmy się o jeden dzień drogi, do małej i nędznej stacyi Tuano, na której zwykle pociąg zatrzymuje się trzy minuty, przyszła wiadomość, że dalsza droga jest nie do przebycia, śniegi bowiem na przestrzeni kilku mil zasypały ją na kilkanaście łokci grubo.

— Co będziemy robili? — pytali mnie moi towarzysze.

— Krótka rada: wróćmy do Ogden, a stamtąd do Salt-Lake-City.

Uradowani tym pomysłem, idziemy do kasy i pytamy: kiedy pociąg odchodzi do Ogden?

— Stąd pociąg nie odchodzi. Do Ogden idzie tylko wielki pociąg, wychodzący z San-Francisco do New-Yorku — odpowiada kasyer.

— A kiedyż przyjdzie pociąg z San-Francisko?

— Gdy droga będzie wolna.

Pospuszczaliśmy głowy. Trzeba było zostać i czekać zmiłowania Bożego w Tuano. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego, niż owo Tuano. Jest to pięć, czy sześć chałup, skleconych z de-

sek i stojących na śniegu. Siedzieć tam, kiedy ma się przed sobą uroczą Kalifornię, równało się śmierci. A tymczasem nikt nam nie mógł powiedzieć, jak długo musimy pokutować. Może tydzień, może dwa dni, może dziesięć. Oto była odpowiedź.

Słyszeliśmy wprawdzie, że sześć lokomotyw przyszło od strony San-Francisco; cztery, przybyłe z Ogden, sami widzieliśmy przechodzące przez Tuano. Wszystkie one, uzbrojone w ogromne pługi, poszły rozbijać zaspy śniegowe, ale mogło się i to także zdarzyć, że co machiny oczyszczą, to śnieg zasypie na nowo.

Z nudów pierwszego dnia strzelaliśmy ze cztery godziny z rewolwerów; nad wieczorem, pożyczywszy rajfli od mieszkańców stacyi, udaliśmy się na polowanie, powiedziano nam bowiem, że w poblizkich górach są niedźwiedzie. Z owego polowania wróciliśmy późną nocą, nie widziawszy ani śladu niedźwiedzia, zmęczeni natomiast i przeziębli, bo nieraz przyszło nam zapadać w śnieg po szyję.

W ten sposób upłynął dzień, porobiliśmy znajomości w naszym *sleeping-carze*, w którym jechało arcy dystyngowane jakieś towarzystwo. Trudnoż bo nie zrobić znajomości, żyjąc z kim,

mieszkając i sypiając w jednym wagonie. Ale znajomości te nie były zbyt ponętne, najmłodsza bowiem z «ladies» mogła liczyć mniej więcej czterdziestkę, nie biorąc w rachunek podlotków.

Amerykanie poczęli się urządzać, jak gdybyśmy mieli już na zawsze tu pozostać. Jakoż zanosiło się na wcale nie krótką kwarantannę. Dzień upływał za dniem, a każdego wieczoru kładliśmy się z myślą: jutro może już obudzimy się w Nevadzie...

I budziliśmy się... w Tuano.

Wkrótce wielka zażyłość zapanowała między mieszkańcami naszego wagonu. Razem chodziliśmy na obiad, wieczorem pijali herbatę w wagonie, a potem do godziny zwykle jedenastej, śpiewaliśmy chórem narodowy amerykański *Georgia-marsh*, potem murzyn Charles urządzał łóżka, i szliśmy spać.

We dnie program również był postanowiony. Rano: strzelanie z rewolwerów; nagroda dam: pomarańcza. Udało mi się pozyskać ją zaraz drugiego dnia. Po strzelaniu spacer koło wagonów i turniej damski, polegający na chodzeniu po szynach. Dama, która najdłużej utrzyma się

na szynie i przejdzie największy kawał drogi, otrzymuje nagrodę dżentlemanów: pomarańczę.

Trzeba było widzieć nasze ladies, jak podkasawszy sukienki, szły z sobą o lepsze i obsuwały się co kilka kroków na ziemię.

Nakoniec czwartego dnia, ktoś puścił wieczorem wieść, że w nocy pojedziemy. Z radości zaimprowizowaliśmy pick-nick, który odbył się bardzo uroczyście u piekarza; potem, pełni najlepszej nadziei, położyliśmy się spać i nazajutrz rankiem rozbudzili się... w Tuano.

Tym razem upadliśmy już na duchu, bo groziło nam jeszcze i inne niebezpieczeństwo. Oto w Tuano kończyły się zapasy żywności. Był jeszcze dostatek sucharów, cukru, kawy, herbaty i kalifornijskich jabłek, ale mięsa poczęło już brakować, przyjść zaś z Ogden nie mogło, bo i od Ogden droga była zasypana.

Na szczęście, tegoż dnia wieczorem przyszła już pewna, bo telegraficzna wiadomość, że lokomotywy z pługami rozbiły nakoniec śniegi, i że za chwilę będą w Tuano.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy nadeszła. Był już wieczór, wieczór ciemny bardzo, tylko odblask od śniegów rozpraszał ciemność. Nagle usłyszeliśmy zdala lokomotywy, a wkrótce uj-

rzeliśmy je w pomroce. Był to raczej cały pociąg, złożony tylko z machin. Pierwsza z nich, uzbrojona olbrzymim pługiem, cała osypana śniegiem, nosiła na sobie wyraźne znamiona ciężkiej pracy. Zbliżały się, bijąc we dzwony, hucząc, gwiżdżąc, sypiąc snopami iskier z kominów i buchając kłębami dymu. Ten gwar, bicie we dzwony, szum pary i odgłos gwizdania dziwnie majestatyczne sprawiały wrażenie. Zdawało się, że czarne te potwory święcą w ten sposób tryumf, że są to głosy radości po trudnej walce i zwycięstwie; zdawało się, że lokomotywy są zmęczone i zziajane, wściekłe jeszcze po walce, ale pijane własną siłą i radosne. Sądziłbyś, że żyją i czują, a owe odgłosy tryumfu powiększały jeszcze złudzenie. Jakaś nieopisana potęga biła od tego czarnego korowodu machin i kominów, który przesunąwszy się koło nas nakształt szeregu olbrzymich, powracających jak gdyby z rui zwierząt, nikł i topniał zwolna w ciemnościach, jak nocne olbrzymie widziadło.

Gwar tylko, huk i bicie we dzwony dochodziły długo jeszcze naszych uszu z ciemnej oddali, potem wagony nasze zadrgały, potem uderzyły o siebie i posunęły się zwolna naprzód.

Wkrótce byliśmy już w Nevadzie, którą jechaliśmy jeszcze cały dzień i noc następną.

Gdyby Gustaw Doré urodził się w Ameryce, powiedziałbym, że wzory do swych krajobrazów piekła brał z okolic, które przebywaliśmy teraz. Nic tak nie przygniata duszy ciężarem, nic tak nie przejmuje zwątpieniem i zniechęceniem, jak te szeregi nagich, czarnych skał, otaczających równinę, przez którą przechodzi pociąg. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać umarłe pola księżyca. Bo też istotnie, wszystko tu jest umarłe. Roślinności ani znaku, ani jednego nigdzie żywego stworzenia, skały zdają się trupami skał, płaszczyzna jednym wielkim cmentarzem. Chwilami nawet przychodzi na myśl, że cała ta kraina śpi jakimś martwym, letargicznym snem, że to kraina zaklęta i przeklęta przez złego ducha. Jedziesz i jedziesz cały dzień, a krajobraz nie zmienia się wcale; wiecznie ta płaszczyzna chłodna, zdrętwiała, otwiera się przed tobą w nieskończoność, a po bokach ciągle takie same uśpione albo martwe góry. Do zniechęcenia przybywa jeszcze uczucie nudy, i zdaje się, że i ciebie sen ogarnie także, że uśnie wszystko i czekać będzie przebudzenia wieki całe, w głębokiej i nieprzerwanej ciszy.

Nawet nazwy w tej dziwnej krainie smutne są jakieś i złowrogie. Oto na prawo od pociągu, te posępne góry nazywają się Batle Mountains, czyli Górami Bitwy. A i ta cała płaszczyzna to ciągłe pole walk, które niedawno jeszcze toczyły się między białymi a Indyanami. Do wszystkich miejsc przywiązane jakieś smutne wspomnienia. «Tu wyrznęli całą karawanę pionierów» — mówi ci świadomy miejscowości podróżnik. Tam znów zginęło od razu do dwustu Indyan; tam zaduszono ich dymem w pieczarach. A to co znowu? Mogiła, naokół grobu czarne sztachety i krzyż z napisem: «Jenny...»

Kto to była ta Jenny? Jakaś biedna dziewczyna! Nazwisko jej stoi wypisane także na krzyżu, ale uleciało mi już z pamięci. Zdarzyło się przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze nie istniała kolej, że śnieg zasypał w tem miejscu karawanę podróżnych. Wszyscy upadli na duchu; dzieci i kobiety pochorowały się na tyfus; głód doszedł do najwyższego stopnia. Wówczas to Jenny, chodząc od namiotu do namiotu, pielęgnowała chorych i krzepiła upadłych. W nocy rozpalała ogniska, we dnie wygrzebywała mech z pod śniegu i gotowała go na pokarm; słowem: była aniołem opiekuńczym obozu. Ale potem

upadła pod brzemieniem: rozchorowała się sama i umarła — inni ocaleli, bo ratunek nadszedł tego samego dnia jeszcze, w którym skonała Jenny. Wdzięczni pionierowie usypali jej mogiłę i postawili na niej krzyż. Dziś stoi on koło samego nasypu kolei, tak, że z wagonu można przeczytać na nim napis.

Oto jest historya Jenny. Przejeżdżaliśmy koło jej grobu w południe, wieczorem zaś przybyliśmy do wielkich słonawych jezior, leżących już na zachodnim krańcu Nevady. Jedno z nich nosi nazwę Humboldt Lake, drugie Piramid, trzecie Tahoe, czwarte Walker. W bliskości ich brzegów, grunt pokryty jest wszędzie solą i prawie zupełnie pozbawiony roślinności. Krajobraz nie różni się wiele od poprzedniego, wody te bowiem szare, nieruchome, mało przezroczyste, wydają się również jak gdyby ujęte snem zaklętym.

Zima widocznie tu także długa i ostra: miejscami śnieg leżał na płaszczyźnie; wierzchołki gór całkowicie były nim ubielone; ustawicznie przytem dął ostry i przenikliwy wicher, który wnikał nawet do wagonów, migocząc płomieniami lamp. Wyszedłszy na chwilę na platfor-

mę, wróciłem zziębły i zniechęcony do najwyższego stopnia. Jeżeli i Kalifornia podobna jest do Nevady, myślałem sobie, po cóż do niej pędzę przez całe dni i noce? czyż po to, aby ujrzawszy ją jutro, marznąć, zniechęcić się i rozczarować tak, jak dzisiaj?

Z tą myślą, strudzony na ciele i umyśle, udałem się na spoczynek. W nocy marzyło mi się, że jeszcze stoimy w Tuano, dlatego budziłem się co chwila; nakoniec, gdy pierwsze promienie słońca zajrzały przez zielone firanki sleeping-caru, ubrałem się i wyszedłem przed wagon.

Z początku zdawało mi się, że śnię jeszcze. Nevada razem ze swymi dantejskimi widokami, z zimą i mroźnym wichrem — znikła; byłem w lasach, w ślicznych, rozrosłych na górach sosnowych lasach, wesołych, wonnych i jak gdyby uśmiechniętych w różowych promieniach poranku. Ciepły wiosenny oddech oblewał łagodnie twarz moją. Nade mną rozpościerało się błękitne niebo; tysiące strumieni szemrały po górach; w lasach brzmiał świergot ptactwa; boki czerwonej skały, wśród której szedł pociąg, były pokryte kwieciem, połyskującem rosą nocną;

słowem: wszędzie wiosna, i przebudzenie, i życie, i wesele.

Byliśmy w Kalifornii.

Pociąg spuszczał się szybko po zachodnich stromych stokach Sierra-Nevada. Wkrótce, co żyło wyległo na platformy wagonów; na wszystkich twarzach znać było radość i zachwyt. Ludzie uśmiechali się naturze, natura ludziom. Okolica stawała się coraz wdzięczniejszą. Nigdzie nie widziałem dotąd takiego bogactwa barw i takiej zarazem ich harmonii. Niebo błękitne jak we Włoszech, ciemno-zielone lasy, jaśniejsze doliny porosle trawą, czerwone skały — wszystko to mieni się i gra w słonecznych blaskach, jak tęcza. W głębokich przepaścistych wąwozach, nad których samym brzegiem przechodzi linia kolei, szumiały obfite wody wiosenne. Tu i owdzie widać było długie drewniane śluzy, ciągnące się całemi milami, w których przemywają złoto. Grupy Chińczyków, o czarnych, długich warkoczach, uwijały się koło śluz, sypiąc w nie złotodajny piasek i ziemię. W dolinach, na ciemnem tle lasów, bielały białe domki fermerów; stada krów i owiec, malowniczo rozrzucone po pochyłościach gór, pasły się wśród trawy i kwiatów; czasem mignął jeździec, sie-

dzący na wysokiem siodle, z lassem okręconem wokoło kuli i znikał w skrętach lesistej drogi.

W miarę jak spuszczaliśmy się na dół, kraj stawał się coraz piękniejszy i coraz widoczniej południowy; przed domkami, stojącymi tuż przy linii, widać było ogromne kaktusy i inne rozwinięte już i okryte powodzią kwiatów drzewa; mnóstwo nieznanych mi wielkich roślin wiło się naokoło drogi, lub czepiało się śluz, pokrywając je miejscami prawie zupełnie. Nakoniec góry znikły, a natomiast wjechaliśmy w łąki, porosłe tu i owdzie ogromnymi dębami. Niektóre z tych łąk stały pod wodą, inne tak były okryte przez tulipany, że prawie nie widać było trawy. Nad wodami unosiły się tysiące dzikich kaczek, cyranek i nurków. Na polach, ogrodzonych wszędzie płotami, widziałem całe stada zajęcy, które uciekały w podskokach za zbliżeniem się pociągu, lub też chowały się w trawę, wystawiwszy z niej tylko uszy i wąsy; różnobarwne ptactwo przelatywało z drzewa na drzewo, napełniając radosnym gwarem powietrze.

O godzinie jedenastej w południe przybyliśmy do Sacramento, stolicy Kalifornii. Na dworcu czekały całe tłumy ludzi, pragnące widzieć pociąg, który niedawno wydostał się z niewoli

śniegowej. W tłumie tym kręciło się mnóstwo Chińczyków o przypłaszczonych nosach i długich, sięgających ziemi warkoczach, zakończonych splotami czarnego jedwabiu. Wyszedłszy z wagonu, przypatrywałem się im z ciekawością, która zdawała się ich bawić, uśmiechali się bowiem, poznając zapewne we mnie cudzoziemca, który ich po raz pierwszy w życiu widział.

Po kwadransie przestanku, ruszyliśmy dalej. Droga szła przez parę minut tuż prawie nad brzegiem złotodajnej Sacramento-River, która, z wiosną bogata w wodę, toczyła poważnie swe czerwone fale, zalewając brzegi, a nawet i domki, stojące niedaleko brzegów. Po chwili jednak rzeka znikła nam z oczu, a natomiast po obu stronach drogi ukazały się niewielkie wzgórza, pokryte kwiatami i zielonością. Kraj stawał się coraz ludniejszy, fermy coraz gęstsze, a kultura coraz staranniejsza. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Saksonii lub Belgii, ale gorące promienie słoneczne, widok roślin, które w tamtych krajach za egzotyczne uchodzą, wywodził mnie natychmiast z błędu.

Nakoniec, po kilku lub więcej godzinach drogi, na krańcu widnokręgu błysnęły błękitne fale

morskie. Sądziłem, że to już Ocean Spokojny, była to jednak tylko jedna odnoga, nad którą leży San-Francisco i jego przedmieście Oacland, które minęliśmy, nie zatrzymując się wcale. Pociąg pędził dalej jak szalony, i łatwo wystawić sobie moje zdziwienie, gdy wyjrzawszy oknem, ujrzałem po obu stronach wagonów fale morskie, dzikie kaczki i mewy, słowem, gdy ujrzałem się razem z pociągiem poprostu na morzu, a raczej na długim z półtorej lub dwie mile drewnianym moście, którego końca nie mogłem nawet dojrzeć z platformy. Wyznaję, że ten sposób podróży wydał mi się cokolwiek zanadto amerykański, zwłaszcza, że nie wiedziałem, jak długo przyjdzie nam tak podróżować. Nakoniec jednak w połowie zatoki, most skończył się i pociąg stanął: podróż nasza była również skończona. Pozostawało tylko wsiąść na parowiec i przebyć drugą połowę zatoki, na której przeciwległym brzegu we mgle morskiej szarzało widne już dla oka San-Francisco.

Opis tego miasta, jak również opis całej Kalifornii, odkładam do następnych listów.

Pisałem w Kalifornii południowej, w górach Sierra-Madre.

VI.

Szkice amerykańskie.

I.

W obecnym liście powiem znów kilka słów o społeczeństwie amerykańskiem i o różnicach tego społeczeństwa od europejskiego. Różnice te są tak wielkie i tak zasadnicze, że skutkiem nich, nietylko budowa społeczna Stanów Zjednoczonych, lecz i wogóle życie i obyczaje mieszkańców tego państwa dla świeżo przybyłego Europejczyka są niezrozumiałe. Weźmy naprzykład demokracyę tutejszą i europejską. Pierwsza od drugiej różni się przynajmniej tyle, ile praktyka od teoryi. W Europie, każde państwo, w którem prawo wyborcze jest dla wszystkich jednakowe, a procent od dochodu stanowi pod-

stawę opodatkowania [1]), nazywa się demokratycznem. Z tego określenia wypada, że w Europie, zwłaszcza na Zachodzie, istnieje większość państw demokratycznych. Nie na różnicach jednak wyłącznie instytucyi oparta jest odrębność demokracyi amerykańskiej od europejskiej, i aby tę odrębność we właściwem świetle okazać, zauważę przedewszystkiem, że demokratyczne państwo nie jest jeszcze bynajmniej demokratycznem społeczeństwem, i że o ile pierwsze napotykamy w Europie często, o tyle drugie nie istnieje prawie wcale.

Jako przykład przytoczę Francyę. Nikt nie zaprzeczy, że od czasów wielkiej rewolucyi, budowa tego państwa jest demokratyczną, a jednak każdy zgodzi się ze mną, że mimo napisów na wszystkich kościołach: *Egalité, Fraternité etc.*, pierwszy z tych wyrazów w sensie nie państwowym, lecz obyczajowym, jest tylko bajką Lafontaine'a. Czyż bowiem doktor, kupiec, urzęd-

---

[1]) Pomijam tu pewne ograniczenia, ścieśniające prawie wszędzie prawo wyborcze do tego stopnia, że prawdziwą zasadą jego jest *census;* pomijam również tak zwane podatki pośrednie, obciążające w znacznej części niektóre tylko klasy, o czem patrz Adam Smith, Ricardo, etc. etc.

nik, robotnik prosty, wieśniak, żołnierz, nauczyciel, bankier są w życiu towarzyskiem i w praktyce tego życia sobie równi? Czyż we Francyi, jak zresztą i wszędzie, nie istnieją obok siebie dwa światy, odrębne i tak zamknięte jeden dla drugiego, jak kasty indyjskie: świat ludzi prostych, świat bluz i sukman — i świat ludzi wykształconych, wykwintny, estetyczny, pański? Czyż nakoniec ludzie, należący do tego drugiego świata, nie uważają siebie istotnie za coś lepszego od należących do pierwszego? Niepodobna temu zaprzeczyć, tak jak każdej oczywistości. Co większa, takie stosunki rozwinęły się, bo musiały rozwinąć się na mocy historycznej i ekonomicznej konieczności. Są one naturalne, bo odpowiadają rzeczywiście istniejącym różnicom społecznym.

W Ameryce jest inaczej. Demokracya tu nietylko jest państwowa, ale i obyczajowa: nietylko istnieje jako instytucya i teorya, ale jako praktyka. Tu ludzie rozmaitych wymienionych przeze mnie stanów są istotnie i najprawdziwiej sobie równi: mogą z sobą żyć, mogą się z sobą przyjaźnić, należą do jednego towarzystwa, siadają przy jednym stole; słowem: nie stoją na różnych szczeblach drabiny społecznej,

poprostu dlatego, że tu drabiny i szczebli niema wcale, jest tylko jeden poziom, na którym stojąc, nikt nikogo głową nie przenosi. Ow podział na świat ludzi prostych i nieprostych nie istnieje w Stanach Zjednoczonych, i istnieć nie może z wielu rozmaitych powodów, o których pokrótce nadmienię.

Jest jedna główna zasada demokracyi obyczajowej, to jest poszanowanie pracy. Tam, gdzie każda praca jest jednakowo szanowaną i jednakowo świętą, tam niema racyi dzielić przedstawicieli prac na niższych i wyższych społecznie. Otóż my, Europejczycy, nie mamy i nie możemy mieć najmniejszego pojęcia, do jakiego stopnia wszelka praca szanowaną jest w Ameryce. Pod tym względem Amerykanie mają niezaprzeczoną wyższość nad każdem społeczeństwem europejskiem. Powiedzmy prawdę, że u nas owe teorye o równości pracy są czczymi frazesami, nie budzącymi żadnego echa w praktyce. U nas człowiek, należący do owego świata wyższego, jeśli okoliczności narzucą mu jako jedyny sposób życia pracę ręczną, mimo wszystkiego, co się mówi i pisze, zniża się w opinii własnej i ludzkiej; poprostu traci swoją kastę, zrywa wszelkie węzły, łączące go z warstwą,

do której poprzednio należał, i przechodzi do tak zwanych niższych klas społeczeństwa. W Ameryce tego niema. Tu, prawdę rzekłszy, klasy społeczne w sensie europejskim nie istnieją; istnieje tylko rozmaity *business*, ale gentleman, który zajmuje się wyrabianiem obuwia, jest równie szanowany, jak gentleman trudniący się adwokaturą, dla tej prostej i niezachwianej przyczyny, że opinia nie robi najmniejszej różnicy w poszanowaniu szewstwa i adwokatury. Nauczcie się w Europie szanować tak pracę, a porównacie ludzi, nietylko państwowo, ale i obyczajowo, lepiej niż wszelkie instytucye.

Owo niesłychane poszanowanie pracy, to pierwszy powód, dla którego nie istnieje tu podział na dwa światy, a zarazem klucz do zrozumienia demokracyi amerykańskiej, która początkowo wydaje się po prostu niepojętą. Da się wytłómaczyć ów szacunek i historycznie i ekonomicznie. Przyczyna historyczna leży w tem, że tutejsze społeczeństwo wytwarzało się z wychodźców, należących do niższych, po największej części rzemieślniczych klas narodu, które zawsze utrzymywały się jedynie z pracy ręcznej; przyzwyczajone więc były w niej widzieć główną wartość człowieka i najdzielniej-

szą swą broń i największą zasługę. Co się tycze przyczyny ekonomicznej, równie ona jasna i naturalna. Mała liczba ludzi, w stosunku do niezmiernych obszarów kraju, i wielka ilość potrzeb, których z powodu braku rąk zaspokoić było niepodobna, wyrobiły niesłychaną cenność każdej pracy, a stąd otoczyły ją nieistniejącem nigdzie uznaniem, które przeszło i na jej przedstawicieli. Mówiąc językiem handlowym: popyt na pracę przenosił dziesięćkrotnie jej podaż, a bezpośrednim tego skutkiem była wysoka jej cena nietylko materyalna, ale i moralna. To objaśnia wszystko. Ten nierówny stosunek pomiędzy żądaniem pracy a ofiarowaniem jej istnieje do dziś dnia w większości Stanów, a zatem do dziś dnia nie zmienia się i jej uznanie, które nadto ze świadomością jest podtrzymywane przez opinię publiczną i wychowanie, jako główny i szczególniejszy przymiot narodowy.

Z drugiej strony, przy samorządzie, który pozwala na to, aby dane usposobienie ogółu odbijało się natychmiast i w instytucyach, możliwem było zaprowadzenie urządzeń państwowych w duchu tego poszanowania pracy, a zatem w duchu czysto i wyłącznie demokratycznym. Do takich instytucyi publicznych należą

przedewszystkiem szkoły. W Europie, chociaż zrozumiano oddawna potrzebę oświecenia klas niższych, główna uwaga jednak jest zwrócona nie na szkoły elementarne, mające na celu oświatę, ale na zakłady naukowe wyższe, poświęcone naukom ściśle wziętym. Ależ nie potrzeba dowodzić, że owe wyższe zakłady nieprzystępne są prawie zupełnie dla większości klas społecznych, stanowiących tak zwany świat prosty, czyli, że wychowanie państwowe ma na celu przeważnie nie cały naród, ale tylko świat wyższy, inteligentniejszy, pański. Wytwarza to istotnie takie różnice w rozwinięciu umysłowem ludzi, że wobec nich równość towarzyska i obyczajowa jest niemożliwa.

W Ameryce znowu jest inaczej. Szkoły mają na celu nie tyle naukę, ile ogólną oświatę. Istnieją wprawdzie wyższe specyalne zakłady naukowe, ale uwaga społeczna jest zwrócona głównie na szkoły elementarne, w których uczy się cały naród. Dlatego też można powiedzieć, że nauka stoi, na ogół wziąwszy, niżej w Stanach Zjednoczonych, niż w Europie, oświata zaś bez porównania wyżej. Rozlewa się tu ona niezmiernie szeroko i obejmuje wszystkich bez żad-

nego wyjątku. Dodać należy, że i zakres nauczania elementarnego jest tu nierównie szerszy, niż w Europie. Szkoła elementarna nietylko uczy czytać i pisać. Każdy Amerykanin wynosi z niej, prócz nauki czytania i pisania, pewne wiadomości z dziedziny matematyki, geografii, nauk przyrodzonych i wreszcie nauk państwowych. Dalszem kształceniem jego zajmują się gazety i praktyka społeczna. Łatwo zrozumieć, że obywatel, który jest wyborcą, który należy do pewnej partyi, i którego interesy najbezpośredniej z losami tejże partyi są związane, przez samo ocieranie się o życie polityczne i przez bezpośredni w niem udział, wyrabia w sobie nietylko już pewne specyalne wiadomości i poglądy, ale zgoła wyższą inteligencyę i wyższe rozumienie wszystkiego, co go otacza.

Skutkiem tego, człowieka tak ciemnego, jak każdy «prosty człowiek» w Europie, jak np. nasz chłop, albo francuski, trzebaby tu szukać chyba między wyzwolonymi niedawno murzynami. Tu z pierwszym lepszym z brzegu fermerem, rzemieślnikiem, furmanem lub majtkiem, możesz pogadać choćby i o rozmaitych formach rządu, o polityce zagranicznej, o monecie pa-

pierowej i brzęczącej [1]), słowem o czem chcesz, byle nie o literaturze i sztukach pięknych. O wszystkiem tem słyszał w szkołach, czytał w gazetach, nad wszystkiem musiał się zastanawiać, jako wyborca; słyszał wreszcie tysiące mów politycznych, «spiczów» republikańskich i demokratycznych, w których mu każdą rzecz pokazywano ze wszystkich stron i kładziono jak łopatą w głowę. Poglądy jego niezawsze będą głębokie, czasem mogą nawet zdradzać przyrodzoną głupotę, nigdy jednakże nie wykażą absolutnej ciemnoty. Niema w tem, co mówię, najmniejszej przesady. Każdy przeciętny Amerykanin jest człowiekiem nie uczonym, ale rozwiniętym, i takiego odskoku między umysłami, jaki co krok trafiamy w Europie, tu nie spotykamy nigdzie.

Krótko mówiąc, oświata rozlana tu szerzej, a wydział jej bez porównania więcej równomierny. Ludzie tu są bliżsi siebie umysłowo, porozumienie się więc między nimi jest łatwiejsze. Specyalność, osadzona na takim gruncie, nie może już być powodem do wynoszenia się

---

[1]) Kwestya obecnie niezmiernie żywo roztrząsana w Ameryce.

jednych nad drugimi, bo jeżeli np. doktor ma rozmaite wiadomości, których nie posiada szewc, to za to doktor nie umie robić obuwia; obaj jednak są ludźmi rozwiniętymi, wobec czego specyalności ich schodzą do znaczenia odrębnych tylko «businessów», nie mogących wpływać na wzajemne stosunki.

Oto drugi powód, umożliwiający towarzyską i obyczajową równość między ludźmi.

A teraz przejdźmy do trzeciego.

W Europie świat *wyższy* różni się od świata *niższego* nietylko zajmowaniem się pracą więcej umysłową, nietylko zamożnością, nietylko wykształceniem, ale także i uobyczajeniem. Wypływa to koniecznie jedno z drugiego. Istotnie, obyczaj wykwintny, estetyczny, jakby dawniej powiedziano: trefny, może zaszczepić się i przyjąć tylko na gruncie przygotowanym odpowiednio. Ta delikatna roślina potrzebuje niezmiernie starannej uprawy umysłowej, umożliwiającej subtelne poczucie wszystkiego, co jest estetycznem, przyzwoitem i wykwintnem, a co grubem i nieokrzesanem. W Europie też, w świecie wyższym, w którym istnieją odpowiednie warunki, uobyczajenie towarzyskie doszło do tego stopnia wysokości, o jakiej Ameryka marzyć jeszcze

nie może. Oto dlaczego świeżo przybyłemu Europejczykowi Amerykanie, ze swemi przyzwyczajeniami, ze swojem żuciem tytuniu i zakładaniem nóg na okna, wydają się narodem barbarzyńskim.

Cywilizacya obyczajowa, jeśli będziemy brali pod uwagę tylko kulminacyjne jej punkty, albo mówiąc czysto po polsku: szczyty, wyżej stoi w Europie. Ale też za to, jakaż przepaść oddziela w naszym Starym Świecie uobyczajenie wyższych klas narodu od niższych! Weźmy dwornego kawalera i postawmy go obok chłopa, a będzie się nam zdawało, że ci ludzie z dwóch różnych planet pochodzą: różnica będzie tak silna, że znowu, gdybyśmy za miarę cywilizacyi obyczajowej chcieli brać obyczaje niższych warstw narodu, moglibyśmy powiedzieć, że cywilizacya obyczajowa niżej stoi w Europie, niż w Ameryce. Stoi więc niżej i wyżej, czyli zważywszy wszystko, dochodzimy do tej samej wypadkowej, do której doszliśmy mówiąc o oświacie, to jest, że w Europie udział w uobyczajeniu rozmaitych warstw narodu jest do najwyższego stopnia nierównomierny: na jednych przypadło wszystko — na drugich nic. W Ameryce, tak samo jak niema zbyt wielkich różnic w oświa-

cie, tak niema ich i w obyczajach. Ta sama logika, która w Europie wytwarza te różnice, tu je znosi. Obyczaj nigdzie nie jest tak wykwintny, jak w wyższym świecie europejskim, nigdzie zaś tak pierwotny i nierozwinięty, jak w niższym. Jest to trzeci powód równości obyczajowej i towarzyskiej między ludźmi.

Rozumiejąc te trzy powody, to jest: 1) poszanowanie pracy, 2) brak zbyt wybitnych różnic w wykształceniu, 3) brak zbyt wybitnych różnic w obyczajach — można dopiero zrozumieć demokracyę amerykańską i w ogóle amerykańskie życie. Pamiętam, że kiedy przed kilku miesiącami wynajęty furman, który miał nas zawieźć do jednego z milionowych fermerów, po przybyciu na miejsce, zamiast zostać przy koniach, wszedł z nami razem do salonu, i siadłszy na kanapie, począł bawić córkę gospodarza domu, w mojej europejskiej głowie fakt ten nie chciał się żadną miarą pomieścić, tembardziej, że nie umiejąc jeszcze po angielsku, nie mogłem ocenić jego rozmowy. A jednak miejscowym wydało się to zupełnie naturalnem, bo dla nich furman, jako furman, był tylko gentlemanem, mającym swój «business» w utrzymywaniu koni, zresztą równym zupełnie każdemu innemu oby-

watelowi Stanów Zjednoczonych. Dziś już i mnie nie zdziwiłby fakt podobny; wiem bowiem, że jeżeli milioner amerykański stoi niżej w wykwintności obyczajów od milionera europejskiego, za to furman amerykański stoi dziesięćkrotnie wyżej od furmana europejskiego.

Tą samą zasadą mniej więcej posuniętej równości intelektualnej i obyczajowej tłómaczą się tu tysiączne inne fakta codziennego życia, na które świeżo przybyli podróżnicy europejscy wytrzeszczają zdziwione oczy. Służący zasiadają tu wszędzie razem do stołu ze swymi pracodawcami i nie tworzą bynajmniej innego towarzystwa; na balach publicznych wiejskich, postrojone córki fermerów tańczą z parobkami swych ojców, jako z «gentlemanami», zupełnie na równi stojącymi z niemi towarzysko; konduktorowie na kolejach żelaznych w chwilach wolnych od służby, bawią wykwintne podróżujące damy; garsonowie w restauracyach gawędzą na stopie zupełnej równości z gośćmi; słowem: nigdzie prawie różnicy, wszędzie jeden ogół, jedno wielkie towarzystwo, do którego cały naród należy, i wszędzie stosunki tego rodzaju, iż początkowo zdaje się, że tu ludzie uwzięli się, aby we

wszystkiem postępować odwrotnie, jak w Europie.

Dalej owo poszanowanie pracy, o którem poprzednio wspomniałem, pozwala, aby ludzie zajmowali się wszelką pracą, bez ubliżenia sobie, swojej godności, albo nakoniec swojej pozycyi socyalnej. Bardzo wielu wysokich nawet urzędników, obok swych urzędów, trudni się to handlem, to przemysłem, to nakoniec rzemiosłem, tyle oczywiście, o ile czas im na to pozwala. Po wyjściu z urzędu, każdy bez wyjątku chwyta się za jakiś «business», w którego wyborze nie zważa wcale czem był poprzednio. Sam znam w San-Francisco byłego pełnego generała dywizyi i byłego wojennego gubernatora Stanu Georgia, który obecnie ma wielki szynk piwa, wódek etc., i własnoręcznie podaje nieraz kufle i kieliszki swoim gościom. Przyznacie, że według europejskich pojęć jest to coś niepodobnego prawie do wiary; ale tu jeśliby dziwili się czemu, to chyba zdziwieniu europejskiemu nad rzeczą tak prostą i naturalną. Takich generałów, gubernatorów etc., naliczyćby tu można bardzo wielu, tembardziej, że urzędowanie w Ameryce nie trwa zwyczajnie dłużej nad lat kilka, zatem jest i wielka liczba dymisyonowanych.

Przytaczam te fakta jeszcze i dlatego, aby zwrócić uwagę czytelników, jak takie chwytanie się wszelkich ludzi za wszelką pracę dzielnie przyczynia się także do podtrzymania równości w obywatelskiem i prywatnem życiu. Rzeczywiście, jakże ktoś może wynosić się tu nad szynkarza, korzennika, rzemieślnika wreszcie, skoro ten ostatni wczoraj był gubernatorem, lub zasiadał w senacie, a jutro, jeśli partya, do której należy, stanie się większością i obejmie rząd kraju, znowu będzie piastował jaki równie znakomity lub znakomitszy jeszcze urząd! Tak więc wszędzie i we wszelkich stosunkach szacunek pracy rodzi równość, równość podtrzymuje z kolei ten szacunek; równość obyczajowa i intelektualna znosi różnice w życiu, słowem przerobiwszy łacińskie przysłowie: *Abyssus abyssum provocat*, można z zupełną słusznością powiedzieć o Stanach Zjednoczonych i demokracyi, że tu *equalitas equalitatem provocat*.

Doprawdy, wobec tego, gdyby mnie kto zapytał: które społeczeństwo wyrobiło doskonalszą cywilizacyę? — wyższość bez wahania przyznałbym Amerykanom. W Europie obejmuje cywilizacya tylko niektóre klasy społeczne, a raczej jedną, która zagarnia i chłonie w sobie

wszystko. Cały świat istnieje tylko w niej i dla niej, nauka i wiedza jest wyłącznie jej udziałem; poezya, sztuki, ruch umysłowy, słowem: wszystko, co życie czyni prawdziwie pięknem, wzniosłem i duchowem, co stanowi prawdziwie ludzką, estetyczną i intelektualną stronę tego życia, istnieje tylko w niej i dla niej, a spełnia się tylko przez nią. Poza nią nikt nic nie wie, nikt nic nie umie. Ów świat wyższy pisze, sądzi, mówi, wytwarza opinię społeczną, wydaje dzienniki, napełnia galerye obrazów, biblioteki, teatry: słowem, jest całą cywilizacyą, poza którą istnieje ogromna, mętna fala ludzi, żyjąca życiem mniej więcej fizycznem, nieuobyczajona, ciemna, gruba.

Gdybyż przynajmniej do owego świata wyższego, w każdem społeczeństwie europejskiem należały całe miliony ludzi: połowa, czwarta, ósma, dziesiąta wreszcie część ogólnej liczby — możnaby przynajmniej powiedzieć, że zakres jego nie jest zbyt szczupły. Ale zobaczymy, że tak nie jest. Wprawdzie obliczyć dokładnie, kto należy do świata wyższego, a kto do «prostego» — trudno, można jednak postawić cyfry przybliżone, wziąwszy za podstawę większą lub mniejszą zamożność pojedyńczych jednostek. Pod-

stawa taka będzie racyonalna, gdyż łatwo zrozumieć, że kształcić się tak naukowo, jak i estetycznie mogą ci tylko, którym pozwalają na to środki. Otóż mam w tej chwili pod ręką niezmiernie ciekawą książkę, w której przytoczony jest urzędowy pruski wykaz z roku 1851, uczyniony przy wprowadzeniu podatków od dochodu. Z wykazu tego okazuje się, że w całych Prusiech, mających naówczas siedmnaście milionów mieszkańców, tylko 44,408 osób miało więcej niż tysiąc talarów rocznego dochodu [1]). Przyjmując dla okrągłości cyfrę 50,000, czy wiecie, czytelnicy, co ta cyfra znaczy? Oto, że naukę, literaturę, sztuki piękne, opinię publiczną, uobyczajenie, słowem całą tę kwintesencyę wysokiej cywilizacyi, z której Prusy tak są dumne, i która za cywilizacyę całego narodu się uważa, w roku 1851 przedstawiają w tych Prusiech 200,000 rodzin, co przy powszechnym upadku zamożności, pomimo wzrostu ludności, będzie zapewne cyfrą przesadzoną, to znaczy, że reszta, to jest miliony, przedstawiają ów

---

[1]) Cyfry te podał urzędowy *ad hoc* komitet, zostający pod prezydencyą rzeczywistego tajnego radcy Dieterici'ego.

świat ludzi prostych, których przy całym rozwoju nauczania elementarnego w Prusiech, przepaść oddziela od świata wyższego i jego cywilizacyi. W demokratycznych Stanach Zjednoczonych zupełnie jest inaczej.

Tu, tak wiedza wogóle, jak i uobyczajenie, nie dochodzi może w pojedyńczych indywiduach ani klasach do takiej wysokości, za to jednak, tak pierwsze, jak i drugie, rozlewa się, jak już mówiłem, bez porównania szerzej i powszechniej. Oto co nazywa się demokracyą amerykańską. A teraz powiem tylko tyle: jeśli wysoka cywilizacya nie zapewnia szczęścia, tedy należy ją odrzucić i wrócić do czasów, w których ludzie chodzili na czworakach; jeśli zaś, jak powszechnem jest mniemaniem, zapewnia — to musimy przyznać, że i możliwość społecznego szczęścia, na ogół wziąwszy, w Ameryce bez porównania jest większą, niż gdziekolwiek w Europie, czyli że demokracya amerykańska najbliżej jest owego społecznego ideału, za którym uganiamy się od wieków.

Tyle o demokracyi amerykańskiej. Jest to aż nadto dosyć, jak na list, który ma być fejletonem, nie zaś wyczerpującem studyum społecznem. Wobec tego, co powiedziałem, można

zrozumieć dokładnie życie amerykańskie, w jego różnicach od europejskiego; czytelnik mógł wyrobić sobie pewne pojęcie nietylko o samej demokracyi amerykańskiej, ale zarazem o przyczynach, umożliwiających jej rozwój. Teraz pomówimy trochę o moralności tego społeczeństwa.

O wielkich złodziejstwach w tutejszej administracyi mówiłem już w poprzednich listach, jak również nadmieniłem o ich przyczynach, które leżą w tem, że każdy urzędnik, póty tu zajmuje swój urząd, póki jego partya stanowi większość rządzącą. Zmienia się partya, zmieniają się natychmiast i urzędnicy; tak więc urzędnik, który dla obowiązków urzędu porzuca swój «business», to jest swój sposób życia, wie, że po kilku latach urząd ten straci. Wobec tego ludziom tym pozostaje tylko jedno: kraść; kradną też tak gorliwie, jak tylko umieją.

Jest to wada machiny rządowej, ale właśnie dlatego za wskazówkę moralności całego narodu brać tych nadużyć niepodobna, tembardziej jeszcze, że urzędnicy tutejsi ani nie mają tego znaczenia, ani nie przedstawiają stosunkowo tak wielkiej cyfry, jak gdziekolwiek przy innych formach rządu w Europie.

Co do średniej moralności narodu, dla oceny

jej innej należy szukać podstawy. Ze wszystkich spraw społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą rozwój moralności. Kto nie wierzy, niech weźmie statystykę przestępstw pierwszego lepszego społeczeństwa, i niech zobaczy, ile ich spełnia się przez ludzi, pozbawionych wszelkiej oświaty, ile przez umiejących czytać i pisać, ile przez wyżej wykształconych. Ale jeśli tak się rzeczy mają, to ponieważ ogólna oświata stoi najwyżej w Ameryce, najwyżej więc stoi i moralność. Tak też jest w istocie. Zastrzegam tylko, że nie mówię o miastach portowych, w których wielką ilość wykroczeń popełniają emigranci, świeżo przybyli z Europy i popychani do tego nędzą. Jasnem jest, że wykroczeń tych na karb społeczeństwa amerykańskiego brać nie podobna. Nie mówię także o stosunkach na pograniczach indyjskich, czyli na kresach. Na kresach bowiem nie istnieje żadna organizacya społeczna: niema miast, instytucyi, praw, słowem: są to krainy dzikie, w których jednostka zostawiona samej sobie i swemu karabinowi, nie żyje społecznie. Żadne zatem dobro ogólne, ani porządek publiczny, nie ograniczają jej samowoli i jej namiętności. Ciągła

wojna, ciągłe niebezpieczeństwo, napady, odwety, i całe otoczenie dzikie a surowe, zaostrzają jeszcze indywidualne namiętności, które też wyrastają do olbrzymich rozmiarów. Ale też nie może być inaczej. Przypomnijmy sobie tylko dawnych naszych kresowców, osiadłych na pograniczach i szlakach tatarskich, a będziemy mieli podobny obraz. Mimo usposobienia ludzkiego, przeważającego w dawnem społeczeństwie, kresowcy byli to mężowie waleczni, ale też kochający wojnę i rozlew krwi, srodzy, burzliwi i pochopni do awantur. Tu w Ameryce dzieje się to samo, a nawet w większym stopniu, tembardziej, że ludność kresowa składa się z piany społecznej, z ludzi, którzy albo pod prawem wyżyć nie mogli, albo też musieli przed niem uchodzić w pustynię, gdzie żadne oczy, prócz gwiazd niebieskich, na nich nie patrzą. Stanowią oni tam nie społeczeństwo, ale zaczyn społeczny, który fermentuje, bo musi fermentować.

Ileż razy zdarza się czytać w historyi, że pierwotną zasadą bytu w tworzeniu się społeczeństwa był rozbój! Tak Livius pisze o początkach Rzymu, że pierwotna jego ludność była to *pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis*

populis [1]); dalej: narody germańskie, klany gallijskie, były tylko bandami, których sposób do życia stanowiła łupież. To samo można powiedzieć o Normanach. Otóż i ci kresowcy amerykańscy, owi «rycerze pustyni», «wakerosi» etc. stanowią taki sam nawóz pod uprawę niwy społecznej. Jak tylko kraina jest odjęta dzikim ludom i dzikiej naturze, jak tylko ludność się zwiększa, mnożą się stosunki, natychmiast występuje i panowanie porządku społecznego. Początkowo porządek ów znajduje swój wyraz i urzeczywistnienie w strasznych sądach regulatorów i w prawie «lynchu». Zwolna jednak, przy ciągle mnożącej się ludności, i sądy regulatorów i prawo «lynchu» stają się bezprawiem; namiętności cichną, jak wzburzone fale; stosunki układają się coraz spokojniej, coraz prawidłowiej, coraz zgodniej z wymaganiami wysokiej cywilizacyi, a w końcu pamięć o dawnych burzliwych czasach zostaje tylko w jakiejś nazwie, jak np. *Krwawy* Arkansas, w przykominkowych opowiadaniach starców, lub w jakimś sensacyjnym romansie, w którym Indyanie i biali od-

[1]) Pastuchów i przybłędów tłum, wygnany ze swoich ludów.

bierają sobie, przez całe setki stronic, idealną dziewicę, umiejącą, mimo długich dni i nocy niewoli, zachować swą niewinność dla szczęśliwego bohatera.

W taki to sposób tworzyły się prawie wszystkie Stany, czyli tutejsze państwa. Dziwnie pouczający to widok, mili czytelnicy, jest to bowiem ten sam proces tworzenia się społeczeństw, przez który przechodziły państwa europejskie; tylko, że w Europie trwał on całe tysiące lat, tu zaś odbywa się prawie w oczach. Widok to, dalej, pocieszający, dowodzi on bowiem, że, bądź co bądź, postęp, leżąc w naturze ludzkiej, ma w sobie siłę niepokonaną, która musi obalić i zniszczyć wszystkie przeszkody, a zaprowadzić wszędzie spokój, poszanowanie praw ludzkich i taki porządek, w którym przyznano jest lub będzie każdemu to, co mu się należy. Wobec tej prawdy, wszystkie nielegalne stosunki ogólne, wszystkie przewagi siły fizycznej mogą być uważane tylko za epoki przejściowe, za wielkie kołysanie się szali politycznej i społecznej, szukającej równowagi na mocy odwiecznych praw natury.

Ale wracam do rzeczy. Mówiąc o moralności publicznej, nie mogę tedy brać w rachunek

tych krain Stanów Zjednoczonych, w których ustrój społeczny jeszcze nie istnieje; będę więc tylko mówił o Stanach już ukonstytuowanych, t. j. znajdujących się w warunkach normalnych. Otóż powiem wam, że nie znam społeczeństwa bardziej lojalnego, niż amerykańskie. Bezpieczeństwo publiczne większe tu jest, niż gdziekolwiek indziej. Kiedym początkowo na wiarę wieści, krążących w Europie o Stanach, jeździł tu i chodził z rewolwerem za pasem, z żelaznym kułakiem w kieszeni i ze szpadą ukrytą w lasce, słowem: uzbrojony, jak jaki rozbójnik w operze — ludzie, świadomi tutejszych stosunków, śmieli się ze mnie, pytając: czy i w towarzystwa kobiece będę chodził również z palcem na cynglu? Obecnie bawię w Stanach przeszło pół roku, byłem w rozmaitych stronach; ocierałem się o rozmaitych ludzi; zdarzało mi się sypiać w samotnych fermach, odległych o dziesiątki mil od stron zamieszkanych, w szałasach pasterzy, w chatach rybackich, a nigdzie z nikim nie miałem najmniejszego zajścia, nigdy bezpieczeństwo mojej osoby i kieszeni nie było zagrożone, przynajmniej ze strony Amerykanów.

Nie mogę np. tego powiedzieć o Meksykanach, zamieszkujących południowe okolice Ka-

lifornii i o ucywilizowanych napół Indyanach; jak jedni bowiem, tak i drudzy, dość skłonni są do skręcenia komuś szyi w kącie i zagrabienia jego worka. W granicach jednak Stanów Zjednoczonych zdarza się to rzadko, albowiem nietylko czujność samej policyi, ale i energia wszystkich wogóle mieszkańców, umiejących być dla siebie samych policyą, stoi temu na przeszkodzie. O rozbojach też, o uorganizowanych bandach złoczyńców zupełnie tu nie słychać. Rozbijają Indyanie i Meksykanie na pograniczach, ale w Stanach urządzonych panuje spokój. Weźmy u nas np. pierwszy lepszy numer *Kuryera Warszawskiego*, a znajdziemy w nim niezawodnie mniej więcej efektowne opisy o włamaniach się lub kradzieżach, dokonywanych w mieście. Tak samo dzieje się w Paryżu, Berlinie, słowem, we wszystkich znaczniejszych miastach europejskich. Tu zdarza się to daleko rzadziej, tak nawet rzadko, że podobne wyjątkowe zdarzenia uchodzą za wielkie wypadki, które opisują gazety, które illustrują dzienniki tygodniowe, nie szczędząc przytem gorzkich słów policyi, rządowi, ba! samemu nawet prezydentowi, na którym zresztą, wedle owej bajki:

«Kogut winien, więc na niego», skupia się tu prawie wszystko.

Z drugiej strony, spytajcie się tylko naszych obywateli wiejskich, co się dzieje u nas po wsiach, a usłyszycie niezawodnie całe historye o kradzieżach żyta, pszenicy, o wypasaniu nocami łąk i koniczyny, o łamaniu płotów, drzew przy drogach, o nocnych napadach na sady owocowe i t. d. Tu własność szanowana jest do najwyższego stopnia. Nikt tu, np. w Kalifornii, z powodu ciepłego klimatu nie zamyka koni, owiec, bydła, drobiu; nikt nie otacza ostrokołami ogrodów; niema prawie wcale stodół i śpichrzów: nie słyszałem jednak nigdy nikogo skarżącego się, żeby mu coś zginęło. Własność prywatna jest tu rzeczą tak świętą, że możesz ją prawie choćby na publicznej drodze złożyć, a nikt jej jeszcze nie ruszy.

Otóż strona wysoce moralna społeczeństwa, otóż strona wyższa, oświata nie pojedyńczych eleganckich klas, ale demokratyczna oświata, rozciągająca się na cały naród, wyłącza podobne nadużycia. Ale prócz oświaty jest jeszcze jeden czynnik, i podtrzymujący ją i wypływający z niej jednocześnie, to jest: zamożność.

Znowu nie mówię o miastach portowych,

gdzie przybyli emigranci, póki nie znajdą roboty, biedę klepią, ale o całym kraju wogóle. Że tu zamożność jest większa, niż gdziekolwiek w Europie, objaśnia ta prosta okoliczność, że tu na jednego człowieka przypada przynajmniej sto razy więcej ziemi, niż w Europie, i że każdy może jeszcze dostać 160 akrów, prawie darmo, bo na dziesięcioletnią spłatę, licząc po $1^1/_2$ dolara za akr. Przytem, jak wspomniałem, ten sam stosunek ludzi do ziemi wywołuje wysoką cenę pracy przy stosunkowej taniości pierwszych potrzeb życia; zatem o biedzie w znaczeniu europejskiem, która jest synonimem głodu, tu nawet mowy być nie może. Mówią mi np. w Anaheim, że mr Brown lub Harrison, lub Down, jest człowiek bardzo biedny. Cóż to znaczy? Pójdźmyż zobaczyć tego biedaka! Idziemy, i oto przed nami porządny dom, otoczony tamaryndami, drzewem pieprzowem, winogradem, brzoskwiniami; w korallu przy domu krowa, koń jeden lub dwa; dalej widać stogi kukurydzy, jęczmienia i t. d. Wreszcie drzwi się otwierają, i amerykański biedak wychodzi na nasze spotkanie. Prawda, ma na sobie tylko spodnie, buty i koszulę, ale tu nikt nie chodzi inaczej. — *Halo! gentlemen!* — mówi gospodarz i zaprasza nas do środ-

ka. — *Halo!* — odpowiadamy i wchodzimy. W domu izb kilka. W jednej dostrzegam, że cała podłoga, według obyczaju amerykańskiego, okryta jest dywanem, stoi stół, krzesła na biegunach i inne jakie takie sprzęty; w następnych statki gospodarskie, łóżko zajmujące pół izby, na którem cała rodzina pomieścić się może: bieda jakoś nie kole w oczy. Czy ten człowiek nie ma co jeść? Ale gdzie tam! Jada trzy razy na dzień mięso i pija przytem wino, bo to najtańszy tu napitek. Dlaczegoż więc mówicie, że biedny? Bo nie ma ani stu dolarów leżących pieniędzy. Mój Boże! iluż ja znam w Warszawie literatów, adwokatów, doktorów, iluż wreszcie po wsiach obywateli wiejskich, którzy nie mają stu talarów gotówki! Ale u nas nie to nazywa się biedą, a przynajmniej nie to nędzą. Nędza mieszka w suterynach; jada raz na dzień lub dwa; nie widuje mięsa, chyba przez szybę w wystawach rzeźniczych; nędza u nas kłapie zębami z zimna, puchnie z głodu, żebrze, kradnie, rozbija: pokażcie mi taką nędzę!

O! cóż znowu! takiej u nas niema. Pan Brown, Harrison lub Down jest biedny, ale nie jest nędzarzem. Biednym jednak słusznie go nazywają,

bo nie ma gotówki, a może ma i długi, za które zabiorą mu wszystko.

Owo «wszystko» rozumiane jest także po amerykańsku; dłużnicy nie mogą mu zabrać narzędzi gospodarczych, naczyń domowych, pościeli i t. p.; nie mogą mu także zabronić, żeby w wigilię licytacyi sprzedał krowę, konie, owce, kury, a pieniądze schował do kieszeni. W rezultacie więc, mogą mu zabrać ziemię, i to tylko w takim razie, jeżeli nie ubezpiecza jej prawo tak zwane: *homestead* [1]). Przypuśćmy jednak, że mogą mu zabrać ziemię całkowicie, to i cóż? O piętnaście, dwadzieścia lub pięćdziesiąt mil, znajdują się całe tysiące akrów, oczekujących na kolonistów, kwestya więc tylko w tem, by zabrać rodzinę, udać się tam, wyrąbać las, zbudować dom, ot i gotowe nowe schronienie. Nie potrzebuję dodawać, że dawne długi nie mogą być przeniesione na świeżo założoną hypotekę.

Ale nawet, nie zajmując nowej ziemi, zbankrutowany fermer ma przed sobą tysiące zajęć

---

[1]) Po polsku możnaby to przełożyć: »bezpieczeństwo domowego ogniska«. Na mocy tego prawa, majętność staje się współwłasnością żony i dzieci, zatem nie może być, w razie bankructwa męża, ani odjęta rodzinie, ani sprzedana za długi.

do wyboru. Może się nająć jako robotnik, czy to w polu, czy w mieście; wszędzie nie on potrzebuje szukać, ale jego szukać będą, przyczem zapłata, jaką mu ofiarują, wystarczy z pewnością na opędzenie potrzeb jego i jego rodziny.

Zapewne, że Stany zachodnie, a między nimi i Kalifornia, w szczególnie szczęśliwych pod tym względem znajdują się warunkach. Na wschodzie bieda może bardziej zbliża się do europejskiej, nigdzie jednak nie dochodzi do tego stopnia, dla tej samej wiecznie przyczyny, to jest małej liczby ludzi w stosunku do obszarów ziemi.

A teraz, jakże chcecie, żeby człowiek oświecony i stosunkowo rozwinięty, który ma prawa obywatelskie, który czuje się bezpiecznym i równym każdemu innemu, który ma przytem co jeść, pić i w co się ubrać, porzucał dobrowolnie tę dogodną ze wszech miar pozycyę, a wchodził na ciernistą i niepewną jutra drogę występku? Musiałby to być chyba czarny charakter *par principe*, taki, jaki widujemy na deskach teatralnych. Ale takich wszędzie jest niewielu. Nie mówię, że zbrodnie i występki nie zdarzają się w Stanach Zjednoczonych. Owszem, zdarzają się tu, jak i gdzieindziej, ale kiedy

w Europie są one po największej części wypływem nieszczęsnego położenia socyalnego, tu prawie wyłącznie rodzą się z indywidualnych namiętności, nie zaś z ciemnoty, albo nędzy; nie potrzebuję zaś dowodzić, że ta ostatnia kategorya przestępstw wszędzie o sto procent od pierwszej jest większą.

Na mocy tego, z kredką w ręku i cyframi na papierze, można przekonać siebie i drugich, że społeczeństwo amerykańskie jest moralniejsze, niż jakiekolwiek europejskie.

Nakoniec, słówko jeszcze, co do czystości obyczajów. W miastach, moralność pod tym względem, średnio wzięta, zapewne niewiele wyżej stoi niż w Europie, a w tych, gdzie przewagę ma napływowa ludność chińska, może nawet i niżej. Wogóle jednak, chłodny przyrodzony temperament narodu nie dopuszcza zbytnich nadużyć, życie zaś młodzieży, przepełnione ruchem, pracą fizyczną i gimnastyką, dzielnym jest przeciw rozpuście hamulcem.

Takie są cechy i przymioty tego społeczeństwa, które z początku raziło mnie, a które teraz, im więcej i głębiej poznaję, tem więcej uczę się szanować. W wywodach moich starałem się być objektywnym i o ile możności ścisłym;

nie są więc one wynikiem ani optymizmu, bo o to nikt mnie jeszcze dotąd nie posądzał, ani wreszcie z góry powziętej sympatyi do instytucyi tutejszych. Rozumiem jasno, że niemasz instytucyi bezwzględnie i jednakowo wszędzie dobrych. Wszelkie urządzenia społeczne wtedy są dobre, kiedy są najodpowiedniejsze usposobieniu narodu, jego obyczajom, tradycyom, wreszcie kiedy zapewniają największy rozwój społeczny; złe zaś wówczas, kiedy ten rozwój hamują, i kiedy chcą pozostać formą niewzruszoną i wieczną, wtedy nawet, kiedy już treść wewnętrzna innych zewnętrznych kształtów wymaga.

Oto jest moje rozumienie rzeczy. Z drugiej strony jednak sądzę, że przypatrując się instytucyom amerykańskim i widząc je w prawdziwem świetle, można wiele skorzystać, wiele się nauczyć, wiele przesądów i nędznych pretensyjek zapomnieć; nakoniec zyskać umiejętność szerszego na świat spoglądania i otworzyć naoścież duszę uczuciom humanitarnym, godnym XIX wieku i postępowej filantropii.

Oprócz tego zauważyłem, że korespondencye, pisane stąd do naszych dzienników, jakkolwiek pisane nieraz z wielkim talentem, z natury rze-

czy, jako czasowe, muszą się czepiać raczej zdarzeń i wypadków przemijających, faktów zewnętrznych, chwilowych położeń politycznych, to jest owej *silvae rerum*, która jest objawem i wykwitem życia, nie zaś jego zasadą. Ja, nie krępowany terminami w przesyłaniu moich listów, mogę wolniej robić spostrzeżenia, pomijać okoliczności zewnętrzne, a dopytywać się o ich przyczyny; słowem: mogę badać istotę rzeczy, *das Ding an sich*, jakby powiedział stary Kant, i spostrzeżeniami swemi dzielić się co czas jakiś z czytelnikami, choćby tylko w sposób fejletonowy, niewyczerpujący i ulotny.

II.

O literaturze i sztukach pięknych w Ameryce później pomówię z czytelnikami, ponieważ przedmiot wart, aby mu osobny list poświęcić. Nawiasowo jednak powiem, że rozwój tak literatury [1]), jak i sztuk pięknych w Stanach Zjednoczonych, nie doszedł jeszcze do tych wyżyn, na których stoi w Europie. Henryk Tomasz

[1]) Przez literaturę rozumiem tu w przeciwieństwie do ogólnej nazwy: piśmiennictwo, tylko nadobne utwory.

Buckle, w swojej «Historyi cywilizacyi w Anglii», robi uwagę, że literatura i sztuki piękne poczynają istnieć i kwitnąć w danem społeczeństwie wtedy dopiero, kiedy to społeczeństwo poczyna gromadzić bogactwa [1]). Zdanie to możnaby wyrazić jeszcze inaczej, a mianowicie, że rozkwit ów zaczyna się dopiero wówczas, gdy, po pierwsze: cywilizacya ukończy walkę z naturą i ujarzmi ją, a powtóre, gdy poczyna czuć pewien przesyt życiem i światem realnym. W Ameryce niema jeszcze ani jednego, ani drugiego, zapotrzebowania więc estetyczne, na ogół wzięte, są niewielkie; takie zaś, jakie istnieją, zaspokaja przytem, prócz miejscowej, i pobratymcza literatura angielska. Zresztą o tem później, teraz zaś przejdziemy do kwestyi, która o tyle z literaturą i piśmiennictwem stoi w związku, że robi w nich od kilku lat niezmiernie wiele gwaru i halasu, to jest do kwestyi emancypacyi kobiet w Ameryce.

W Europie powszechne jest mniemanie, jakoby emancypacya kobiet nigdzie nie znajdowała takiego urzeczywistnienia w praktyce, jak w Stanach Zjednoczonych. Ja sam byłem pe-

---

[1]) Z wyjątkiem poezyi.

wien, że znajdę tu mnóstwo kobiet doktorów, adwokatów, urzędników, nawet duchownych; że przynajmniej spotkam ich wiele poświęcających się poważnym naukowym badaniom; niechby wreszcie bawiących się tylko w pozory emancypacyi, które, mimo swych śmiesznych i ekscentrycznych form, zdradzają zawsze jakiś prąd ogólny. Tymczasem rzeczy mają się inaczej. Nauczanie elementarne jest tu istotnie przeważnie w rękach niewiast, które na tem polu oddają nieobliczone usługi społeczeństwu, a jeśli przez emancypacyę będziemy rozumieli wyższe specyalne kształcenie się kobiet i udział w obowiązkach publicznych, spełnianych gdzieindziej przez mężczyzn, to można powiedzieć, że mniej tu zrobiono pod tym względem, niż w Europie.

Istnieje tu możność emancypacyi. Amerykanie mają jeden nieoszacowany przymiot, to jest: odwagę próbowania wszystkiego, co tylko wygląda jako teorya, dążąca do ulepszeń życia ludzkości i postępu. Jeśli tylko taka teorya nie jest oczywistem, bijącem w oczy głupstwem, jeśli znajduje swoich stronników, wyradza naukowe spory, ma za sobą jakiekolwiek dane: wówczas otwierają jej nareszcie wrota do praktyki.

U nas, gdzie opinię publiczną wytwarzają kanapy, ile razy zjawi się jaka nowa myśl z za granicy, natychmiast podnosi się taki wrzask, takie larum, że trzeba mieć chyba odwagę graniczącą z zuchwałością, by jakąś reformę lub wogóle coś niebywałego chcieć wprowadzić. Ale w Ameryce, na rumaku wyobrażającym postęp, nie jeżdżą bez siodła dewotki: chcesz próbować, to próbuj. Tak było i z emancypacyą.

Opinia dała jej z góry sankcyę, a sankcyi państwowej nie potrzebuje tu nikt i nic. Państwo może zabronić jakiejś praktyki, jeśli ona sprzeciwia się moralności, publicznemu bezpieczeństwu i t. d., ale pozwoleń nie udziela.

Ruch więc rozpoczął się swobodnie i ogarnął umysły. Poczęły wzbierać fale, góra jęczeć — i urodziła... się mysz.

Jednem słowem, emancypacya w takiem znaczeniu, w jakiem ją określiłem, nie weszła w życie.

W New-Yorku, panna, jeśli się nie mylę, Mac-Cleftan, jest pułkownikiem; w Stanie Wyoming kobieta jest duchownym; zapewne znajdzie się także kilka adwokatek; w uniwersytetach tu i owdzie trafi się rodzaju żeńskiego student; ale już sam ten rozgłos owych osobisto-

ści, który dochodzi aż do Europy, wskazuje, że są to wyjątki, po największej części indywidua, obdarzone przytem chorobliwą fantazyą, za któremi ogół kobiet wcale nie idzie, a które opinia, przy całej swojej tolerancyi, wyśmiewa.

Proszę bowiem: cobyście powiedzieli o kobiecie-duchownym, którąby spowiadała swego męża? albo jeszcze więcej: o żeńskim pułkowniku? A gdyby tak w razie wojny takiemu pułkownikowi przyszło nagle prosić nieprzyjaciół o zawieszenie broni, z powodu spodziewanego powiększenia się o jedną niewinną istotę sztabu? Takie kłopotliwe położenie wodzów wpłynęłoby może skuteczniej na złagodzenie okropności wojny, niż konferencye brukselskie. Chociaż nie! Świadomi rzeczy mówią, że widok tego wydającego sopranem rozkazy pułkownika i jego plastyczne kształty, równie plastycznie rysujące się w obcisłym ubiorze żołnierskim, dziwnie dodatnio wpływają na zapał żołnierzy.

Ale dosyć żartów. Chcę mówić, że emancypacya nie weszła w życie w Ameryce, i że w ogóle w pracach i obowiązkach społecznych kobieta niewielki tu bierze udział. Powiedzą mi na to, że w Stanach wschodnich, np. w Nowej Anglii, kobiety pracują w fabrykach. Prawda,

ale ileż kobiet, a nawet dzieci, pracuje w fabrykach w Europie! W Wielkiej Brytanii, np. rząd musiał ograniczać liczbę godzin pracy dla kobiet i dzieci w zakładach rękodzielniczych; to samo działo się i gdzieindziej, o czem czytelnik może znaleźć wiadomość u pierwszego lepszego ekonomisty. Wypada z tego, że i pod tym względem w Ameryce nie istnieje żadne wyjątkowe położenie, i że przeciwnie, nawet w przemyśle, kobieta tu bierze mniejszy udział, niż w Starym Świecie. Dalej kobiety obesłały tu wystawę dziełami rąk swoich, które to dzieła pomieszczone są w tak zwanym oddziale kobiecym. Na wystawach europejskich nie było osobnych oddziałów kobiecych, ale nie wypada z tego, aby tysiące nadesłanych przedmiotów nie pochodziły z rąk kobiecych. Czyjemże dziełem są wszystkie koronki, tak podziwiane przez cały świat? mnóstwo przedmiotów galanteryjnych, hafty częściowe i gobeliny, wyroby porcelanowe, jedwabne, tkackie, stroje kobiece i t. d.? We wszystkiem tem albo wyłącznie, albo pół na pół widzimy rękę kobiecą. Trudno zaprzeczyć, że stan robotniczy ma bez porównania więcej przedstawicielek w pierwszem lepszem fabrycznem społeczeństwie w Europie, niż w Ame-

ryce. Ale zresztą udział ten w przemyśle nie może być policzony na karb emancypacyi. W Europie jednakże znajdujemy kobiety służące po biurach telegraficznych i pocztowych, w kasach rządowych i prywatnych: tu tego niema prawie nigdzie. Liczba kobiet zecerek w Europie także jest większa. Słowem, nigdzie nie spotykam tu takiego udziału kobiet w obowiązkach męskich, któryby zasługiwał na ów rozgłos i na owo pojęcie o emancypacyi w Ameryce, jakie co krok napotykamy u nas w książkach poświęconych sprawie kobiecej i w ulotnych artykulikach dziennikarskich i broszurowych, zatytułowanych: «Słówko w sprawie kobiecej», «Kilka słów», «Jeszcze słówko», albo w rozmaitych «Ziarnkach społecznych», których, mówiąc nawiasem, nikt dziobać nie chce.

Pozostaje więc nauczycielstwo, nauczycielstwo i nic więcej. Udział to wprawdzie co się nazywa wielmożny, ale nie wypłynął on z ruchu emancypacyjnego i prawie za emancypacyę tak określoną, jak określiłem ją wyżej, uważany być nie może. Zresztą, gdybyśmy nawet i poczytali go za objaw emancypacyi, jest to dopiero jeden zawód, jeden kierunek, pierwszy

krok, od którego do powszechnego wzięcia udziału w pracach i obowiązkach jeszcze daleko.

Tymczasem w Europie sądzą, że ów powszechny udział jest faktem spełnionym.

Nakoniec, co do specyalnego kształcenia się kobiet.

Istnieje możność takiego kształcenia się: zakłady naukowe są otwarte; nic nie stoi na przeszkodzie przyjmowaniu kobiet na fakultety prawne, lekarskie; ale swoją drogą bardzo mała ich liczba z tych praw korzysta. Wieści, krążące w Europie o zakładach tutejszych naukowych, wyłącznie żeńskich, są do wysokiego stopnia przesadzone. Takie instytucye, jak np. tak zwana akademia Vassara, dalej rozmaite kolegia w New-Yorku, Waszyngtonie, Bostonie, Filadelfii, są uważane powszechnie u nas za jakieś uniwersytety, równe przynajmniej wszechnicom niemieckim. Jest to jak Amerykanie mówią: *humbug*. Skoro tylko zbiorę dostateczną ilość materyałów, poświęcę tym żeńskim akademiom osobny list; tymczasem zaś powiem, że o ile dotąd mogłem rzecz zbadać, są to tylko wyższe pensyonaty, których program zresztą naukowy daleko jest obszerniejszy na papierze, niż w rzeczywistości.

Kobieta powszechnie kształci się tu razem z mężczyzną, temu zaprzeczyć nie można; ale kształci się tylko w zakładach naukowych niższych, które dają rozwinięcie umysłowe ogólne, nie zaś specyalne przygotowanie do jakiegoś zawodu. Większość mężczyzn z zawodami tymi obznajmia się później, bądź w zakładach specyalnych, bądź, co najczęściej, przez samą praktykę; ogół kobiet zaś nie idzie dalej i zwolna zapomina tego, czego się uczył w szkołach.

Rzecz to, według mego rozumienia, zupełnie naturalna. Udział kobiet w nauce i obowiązkach społecznych nie wszedł w życie w Ameryce, bo wejść nie mógł. Wszelka teorya może się zmienić w rzeczywistość, nie tam jedynie, gdzie nie znajduje przeszkód państwowych, ale tam, gdzie odpowiada prawidłowej i tak niezbędnej, jak chleb, potrzebie. Tam, gdzie kobiet jest więcej, niż mężczyzn, gdzie tysiące ich nie wychodzą za mąż, a nie wyszedłszy, nie mogą na chleb zarobić: tam nacisk kobiet, szukających nowych sposobów do życia, będzie tak silny, że tego parcia nie wytrzymają żadne tamy, i emancypacya musi przejść w życie, jako konieczność. Ale w Ameryce istnieją zgoła inne warunki. Kraj jest jeszcze mało zaludniony, a

powtóre bogaty. Wspomniałem już o wielkiej, średnio wziętej zamożności tego narodu. Ziemia i pierwsze potrzeby życia są tanie, a praca droga; każdy więc mężczyzna, pracując sześć godzin dziennie [1]), zarabia z łatwością nietylko na utrzymanie własne, ale i rodziny. Co większa, dzieci, jak ongi u Izraelitów, są tu prawdziwie błogosławieństwem Bożem, doszedłszy bowiem do pewnych lat, stanowią cenną siłę roboczą.

Z drugiej strony, ten kraj bogaty we wszystko, jest ubogi tylko w kobiety. Nie mam pod ręką statystyki ludności Stanów; jestem jednak pewien, że z wyjątkiem może kilku Stanów wschodnich, liczba mężczyzn, na ogół wziąwszy, w całych Stanach przewyższa kilkakrotnie liczbę kobiet, w niektórych zaś południowych i zachodnich stosunek ten ma się tak, jak 5 do 1. Skutkiem tego każda kobieta ma tu przynajmniej 5 na 1-ną daną, że wyjdzie za mąż, i że znajdzie w pracy męża zaspokojenie potrzeb nietylko koniecznych, ale nawet do pewnego stopnia zbytkowych.

Zdarzało się, że rodziny polskie, rosyjskie,

---

[2]) Liczba godzin powszechnie przyjętych, przynajmniej na Zachodzie.

czeskie, dość licznie osiadłe w Kalifornii, nie mogąc przywyknąć do powszechnej tu zupełnej równości w stosunkach ze służącymi, sprowadzały proste wiejskie dziewczyny z ojczyzny. Radość z takiej służącej bywała początkowo wielka, ale cóż gdy nietrwała, po kilku bowiem miesiącach zjawił się jaki gentleman, rzemieślnik, robotnik, fermer, oświadczał się miss Kaśce, Maryśce lub Jagnie i zaślubiał ją, a zaślubiwszy, stroił potem w jedwabie i aksamity. Lady Kaśka, która przywykła była w domu cebrem na powyrku wodę nosić, tu huśtając się na biegunowem krześle, szybko oswajała się z pozycyą i wkrótce nie różniła się niczem od innych «lady». Sam poznałem kilka takich dam: niektóre zapomniały już rodowitego języka, wogóle jednak z rozczuleniem słuchały swojskiej mowy, odpowiadając mi co chwila: «Jest, kochany panie!» co miało znaczyć: «Tak *(yes!)*, kochany panie».

Owóż wypada z tego, że kobieta wie tu, iż nie pracując, nie tylko z głodu nie umrze, ale będzie miała z czego żyć, nawet pod pewnym względem wykwintnie. Taki stan rzeczy objaśnia wszystko.

Tak do nauki, jak do chwytania się za roz-

maitą pracę, skłaniają ogół ludzi nie jakieś powody idealne, ale głównie potrzeba; tu zaś potrzeba ta nie istnieje. Bądź co bądź, bujać się na krześle z biegunami, a inaczej mówiąc: żyć wesoło i bez troski, przyjemniej jest, niż wytężać umysł lub muskuły. Cóż więc dziwnego, że tu kobiety wybierają to pierwsze?

Mówiąc wyłącznie o Kalifornii, muszę wyznać, że tu kobiety usuwają się od takich zajęć, które gdzieindziej wyłącznie w rękach kobiecych pozostają. Po wsiach np., mężczyzna doi krowy, w wielu fermach widziałem mężczyzn zamiatających izby; tam zaś, gdzie dom jest dość zamożny, aby utrzymać Chińczyka, całe gospodarstwo kobiece spoczywa na jego barkach. Poczciwy i niewyczerpanej poczciwości «John» jest niańką, kucharką, ogrodnikiem, pani zaś domu kolysze się na krześle, przyjmuje gości, ubiera się, pieści swoje rozpuszczone jak dziadowski bicz «baby» *(bebe)*, i oto całe jej zajęcie.

Ogólnie kończę te kilka słów o emancypacyi tem: istnieje jej możność, a nie istnieje potrzeba, zatem niema i praktyki. Ale w Europie biorą możność za praktykę, i dlatego w pojęciu o amerykańskiej kobiecie powszechnie się mylą.

Jeszcze kilka słów dla dopełnienia obrazu.

Nigdzie może na świecie nie jest tak wygodnie kobiecie, jak w Ameryce. Prawodawstwo ją kokietuje, obyczaj daje jej wolność, opinia osłania ją nawet wtedy, kiedy broi, mężczyzna ją rozpieszcza. Jest to ogólna cecha rasy anglosaksońskiej ów szacunek dla kobiet, ale w Ameryce dochodzi on jeszcze wyżej niż w Anglii. Może dlatego kobieta jest tu potrosze zepsutem dzieckiem. Gdyby mi jednak kazał ktoś porównać ją pod względem inteligencyi, rozwinięcia umysłowego i uobyczajenia z kobietą europejską, znowu spytałbym przedewszystkiem: z jaką kobietą europejską mam ją porównać? bo tu takich różnic, jak w Europie, niemasz wcale. Weźmy np. nasze stosunki. U nas dama i chłopka, salonowa panna i wiejska dziewczyna, to dwa światy, a przynajmniej dwa bieguny.

Może ktoś spytać: dla czego biorę takie ostateczności? — odpowiem na to: bo mi się tak podoba, bo nie ja wynalazłem te ostateczności, ale one istnieją w społeczeństwie. Otóż u nas salonowa panna mówi z wyjątkiem polskiego, Bóg wie ilu językami, bo miała od dzieciństwa guwernantkę *z językami;* grywa na fortepianie, umie rozmawiać o literaturze i sztukach pięknych z nieopisanym urokiem, o który też głów-

nie chodzi. Umysł jej giętki i rozwinięty; jeśli jej się podoba pozować na wyjątkową naturę, potrafi przysłonić tajemniczą chmurką swą uperfumowaną duszę. Umie także nizać znaczące półsłówka na nitkę rozmowy o niczem, jak paciorki. W gęstym lesie subtelnych odcieni słów i uczuć, porusza się tak swobodnie, jak w domu. Na pierwszy rzut oka ocenia naturę, siłę i zręczność przeciwnika bez zakładania lewą ręką na nos okularów, jak to uczynił w «Panu Tadeuszu» Maciek stary; nie napróżno przecież dla wprawy rozkochiwała w sobie wszystkich kuzynów i wszystkich guwernerów swoich młodszych braci. Wogóle: jest sprytna, wyostrzona na towarzyskim pasku życia, jak brzytwa; wprawdzie nieuczona, ale psychologicznie i estetycznie do najwyższego stopnia rozwinięta.

Może być przytem zła lub dobra, szlachetna lub nieszlachetna, to już rzecz jej wychowania i sumienia; w każdym razie jest istotą wysoce inteligentną. Kreśląc ten obraz, kłaniam się tem samem wielu moim dawniejszym i nowszym znajomościom. Czy im to: *tem samem* zrobi przyjemność, czy przykrość, nie mam czasu się zastanawiać, przechodzę bowiem do drugiej

ostateczności, to jest do wiejskiej dziewczyny. Ta Chloe z czerwonemi nogami chodzi boso po rżysku i dlatego ma różę w kostce; pija wódkę, zasłoniwszy się kilimkiem, i na wszelkie pytania odpowiada wiecznie jedno: «Kaj się wstydom!» Sielankowa ta wstydliwość nie stoi zresztą na przeszkodzie pewnym również sielankowym zajściom na świeżem sianie. To tycze się uobyczajenia. Chloe nie umie przytem czytać, pisać; nie rozumie absolutnie, co się koło niej dzieje, a świat w jej oczach odbija się tylko zewnętrznie, tak, jak niebo w wodzie. Do jej mózgu nie dochodzi nic. Teraz tedy z jakąż kobietą mam porównać Amerykankę? Powiecie: z przeciętną — to się znaczy nie istniejącą w rzeczywistości; wreszcie bądźcie łaskawi to przecięcie uczynić, bo ja go zrobić nie umiem. Jeśli chodzi o przeciętną Amerykankę, to inna rzecz. Wyłączywszy sawantki i kilkaset indywiduów, które podróżując po Europie, wyrobiły się na kobiety europejskie, wezmę pierwszą lepszą i powiem: oto typ. Otóż powtarza się to samo, o czem mówiłem, pisząc o oświacie w Ameryce. Brak tu tak wybitnych różnic, jak u nas. Rozwinięcie umysłowe i uobyczajenie nie są tu arendą jednej tylko klasy. Każda kobieta umie

tu czytać, pisać, czytuje gazety, ma jako tako rozwiniętą głowę, wszystkie ubierają się jednakowo, t. j. przynajmniej jednym krojem i jedną modą; wszystkie nie różnią się zbytecznie obyczajami, t. j. tak pod względem intelektualnym, jak i estetyczno-obyczajowym stoją niżej od niewielu naszych kobiet, a wyżej od całej masy.

Ale na podróżnikach, którzy, jak się to najczęściej zdarza, porównywają tutejsze kobiety wyłącznie z jedną tylko klasą kobiet w Europie, robią one powszechnie ujemne wrażenie. Oto dlaczego np. panna Krystyna Narbuttówna malowała tak sadzami tutejszy świat kobiecy. Zupełnie pojmuję, że świat ten musiał jej się wydawać dość sobie ciemny, prostacki i wogóle: *mauvais genre*. Horainowi, gdyby również baczył w porównaniach tylko na nasze kobiety świata wyższego, Amerykanki także nie przypadłyby do smaku; ale Horain nic złego o nich nie napisze, bo to niestrudzony wyznawca i czciciel płci pięknej.

Co do mnie, oddawszy wszelką sprawiedliwość lepszej proporcyi w oświeceniu kobiet w Stanach Zjednoczonych, daleki jestem od tego, abym je miał stawiać za wzór kobietom euro-

pejskim oświeconym. Powiem nawet, że Amerykanki mają wiele ich wad, ale nie mają wielu ich przymiotów. Więc naprzód, na ogół wziąwszy, mniej są pracowite, mniej zajmują się domem, gospodarstwem domowem i kuchnią, skutkiem czego kuchnia amerykańska znajduje się w stanie dość opłakanym. Powtóre, zamiłowanie strojów dochodzi tu do jeszcze wyższego chyba stopnia. Dlatego też nawet na bulwarach paryskich nie można zobaczyć tylu wspaniałych tualet damskich, ile się ich widzi na nowojorckim Brodway, lub na Kerney w San-Francisco. Moda, jak już wspomniałem, jest tu jednakowa dla wszystkich, i ubranie służącej lub wieśniaczki różni się od ubrania milionowej kupcowej lub żony wysokiego urzędnika tylko ceną i gatunkiem materyału, nie zaś krojem.

Tak wystrojone kobiety dziwnie wyglądają obok mężczyzn, nie przywiązujących do ubioru żadnego znaczenia. Można powiedzieć, że rękawiczki i frak są rzeczą prawie w Ameryce nieznaną. Wiadomo wam zapewne, iż prezydent Grant występował na uroczystości otwarcia wystawy w surducie i bez rękawiczek. Kiedym bawił w Anaheimie, w Kalifornii południowej,

przyjechał do tego miasteczka cyrk francuski. Oczywiście, cała okolica zjechała się na tę uroczystość. Otóż trzeba było widzieć miejskie i wiejskie *ladies*, wystrojone według żurnalów, uczesane w koki i loki, dekoltowane, upudrowane, urękawiczone, idące na wieczorne widowiska pod rękę z mężami o ogorzałych twarzach, ubranymi tylko w buty, spodnie i bawełniane koszule, bez kamizelek i surdutów.

Ale tak się dzieje tu wszędzie. Mężczyzna estetyczne swe instynkta zaspokaja tu, strojąc żonę. Zadowala go to zupełnie.

Znajomość francuszczyzny uchodzi między amerykańskiemi kobietami, również jak i u nas, za szczególniejsze znamię dystynkcyi i dobrego tonu, nie jest jednakże rozpowszechnioną. Każda kobieta, gdy mowa o języku francuskim, wypowie niezawodnie stereotypowy frazes: *It is very sweet language (it is very swit lingwidż:* to jest bardzo słodki język); co większa, każda prawie, idąc za popędem mody, poczyna się uczyć po francusku, ale napotkawszy pierwsze trudności, traci chęć i energię. Swoją drogą, między nieumiejącemi wcale tego języka uchodzi za bardzo w nim biegłą, dopóki nie zjawi się jaki cudzoziemiec, i dopóki w rozmowie

z nim nie pokaże się, że panna umie *very little* (bardzo mało) po francusku, które to *very little* zwykle w rzeczywistości równa się zeru.

O literaturze, poezyi i sztukach pięknych kobiety tutejsze niewiele mają pojęcia, przyczem poznanie literatur zagranicznych utrudnia nieznajomość obcych języków. Na talenty w edukacyi kobiet mniej tu zwracają uwagi, niż w Europie. Nie spotkałem kobiety, którąby znała rysunek lub malarstwo. Znajomość muzyki, na nieszczęście, więcej jest rozpowszechniona, ale za to do najwyższego stopnia powierzchowna. Brak Amerykanom i pracy, i muzycznych zdolności, i wreszcie estetycznego poczucia. Przeglądając nuty w różnych domach tutejszych, nie spotkałem się ani razu z Haendlem, Mozartem, Beethovenem, Szopenem, Lisztem, z mistrzami francuskimi lub włoskimi. Wszędzie znajdowałem tylko jakieś walce, polki, marsz Georgia i... — *quousque tandem, Catilina!* — «La prière d'une vierge» Bądarzewskiej. Tutejsze dziewice grywają ową *la prière*, jeżdżąc razem z krzesłem wzdłuż klawiatury, wzdychając, podnosząc oczy, — słowem: zupełnie, jak u nas, co ma oznaczać niewinność, idealność, panieńskie tęsknoty, fałszywy apetyt i tym podobne.

W obyczaju towarzyskim i rozmowach dziwnie się tu miesza surowość purytańska ze swobodą, o jakiej nie możemy nawet mieć pojęcia. Pod tym względem niema na świecie bardziej różnych towarzystw, niż amerykańskie i hiszpańskie (meksykańskie), których to ostatnich poznałem wiele w Kalifornii południowej. W towarzystwie hiszpańskiem, pierwszem prawie pytaniem i zupełnie poważnem, jakie po zabraniu znajomości mężczyzna zadaje kobiecie, jest: *Esta Usted enamorada?* Czy jesteś pani zakochana? — Jeśli kobieta odpowiada: *Si, caballero!* — wówczas grzeczność nakazuje wykrzyknąć: «Jestem zgubiony!» Ta poetyczna rasa, również jak wszystkie narody romańskie, miłość uważa jakby za dobrego geniusza, bez którego życie nie warte byłoby jednego reala, za pierwszą, najgłówniejszą i tak niezbędną, jak chleb powszedni, potrzebę. Cóż więc dziwnego, że i mówi też przeważnie o miłości?

W towarzystwie amerykańskiem rozmawiać tak nie uchodzi; ale natomiast częstokroć młoda panna pozwala tu sobie powiedzieć, skutkiem nieświadomej siebie śmiałości, coś takiego, co mężczyzna, biorąc rzeczy po europejsku, mógłby najopaczniej rozumieć. Na pewnej np. wy-

cieczce poznałem dwie damy, nader, jak mi mówiono, dystyngowane: ciotkę, podobno autorkę jakichś poezyi, i siostrzenicę, piękną pannę, białą jak śnieg, z niebieskiemi oczyma i czerwonymi włosami. Rozmawiałem z panną przez tłómacza, nie umiałem bowiem jeszcze prawie nic po angielsku. Po chwili więc powiadam:

— Żałuję bardzo, że nie umiejąc języka pani, nie mogę z nią bezpośrednio rozmawiać.

— Nic nie szkodzi, — odpowiada miss — jeśli pan chce, będę pańską nauczycielką.

— Pani, wdzięczność moja... i t. d.

— Jednakże będę pana uczyła pod jednym warunkiem.

— Z góry przystaje na wszystkie; ale pod jakimże?

— Oto, jeżeli pozwolisz przy lekcyi uścisnąć kiedy niekiedy twoją rękę.

Wyznaję, że *obstupui!* Gdyby to było w rozmowie we dwoje tylko, doprawdy, moja wrodzona zarozumiałość znalazłaby obszerne pole do przypuszczeń. Ależ było to powiedziane za pośrednictwem osoby trzeciej, wspólnej naszej znajomej, i głośno, wobec całego towarzystwa, jako zwykła uprzejmość: *sans conséquence.* Gdy-

bym miał lat sześćdziesiąt, usłyszałbym to samo. Tu obyczaj towarzyski na to pozwala.

Również przez taką tylko swobodę obyczajów, panującą obok purytańskiej powagi, można wytłómaczyć istnienie tu tak zwanego stosunku: *flirtation* (flirteszyn). Wyraz ten na polski język da się przełożyć przez «umizgi» albo «koperczaki».

Młodzieniec i panna, zostający w takim, zresztą bynajmniej nie sekretnym stosunku, widują się z sobą sam na sam, ile razy im się podoba, chodzą we dwoje na spacery, podróżują nawet; słowem: są ciągle z sobą i poznają się wzajemnie. Jeżeli charaktery ich przystają do siebie, wówczas *flirtation* zmienia się w związek małżeński; jeśli zaś nie, każde odchodzi w swoją stronę.

W Europie stosunek taki wywołałby niezawodnie mnóstwo skandalicznych następstw. Tu ich nie wywołuje. Z jednej strony stoi temu na przeszkodzie chłodny temperament kobiet, w którym rozwaga przeważa nad uczuciem; z drugiej — opinia, która w danym razie całą odpowiedzialność zwala na mężczyznę i wyłącznie jego tylko podaje na ohydę publiczną; nakoniec i prawodawstwo, które pod karą ogromnych sum pieniężnych, każe mu się żenić natych-

miast, i słuszność przyznaje kobiecie nawet wówczas, gdy widocznie rzeczy się mają inaczej.

Na tem zakończę szkic obecny. Z powodu swych rozmiarów musi on zapewne być niedokładny i niewyczerpujący; starałem się jednak unikać w nim rysów fałszywych, a przytem być o ile można objektywnym. Sądy moje może czytelnik uważać za premisy, z których niechaj wyprowadza takie wnioski, jakie mu się podoba. Co do mnie, powtarzam tylko, że nie zamykając oczu na ciemne strony tutejszego społeczeństwa, im bardziej i pilniej mu się przypatruję, tem więcej dostrzegam stron jasnych.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu czwartego.

LISTY Z PODRÓŻY.

	Str.
IV. Koleją dwóch Oceanów (I)	7
V. Koleją dwóch Oceanów (II)	67
VI. Szkice amerykańskie	111

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1899 bez żadnej dopłaty

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującem w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) **wszystkie utwory autora „QUO VADIS“.**

„Tygodnik Illustrowany“ daje rocznie **przeszło 1200 illustracyi** oraz **bezpłatne reprodukcye kolorowe obrazów mistrzów naszych.**

W roku 1899 drukują się jednocześnie **dwie powieści oryginalne,** mianowicie ciąg dalszy wielkiej powieści historycznej p. t.:

„Krzyżacy“

Sienkiewicza

której początek nowi prenumeratorzy nabywać mogą za kop. 90, oraz

„ARGONAUCI“

większa powieść

ELIZY ORZESZKOWEJ.

W dodatku powieściowym, dołączanym co tydzień w arkuszach, rozpoczęliśmy z Nowym Rokiem powieść historyczną głośnego pisarza węgierskiego **J. Wernera** pod tyt.:

„Z POPIOŁÓW“.

Prenumerata „Tygodnika Illustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i **12-tu** tomami dzieł **H. Sienkiewicza** wynosi: **w Warszawie** rocznie rub. 8; **z przesyłką pocztową** kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12.

W **Krakowie** kwartalnie 3.30 złr., we **Lwowie** kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75.

Adres Administracyi „Tygodnika Illustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.4
486078

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET